

Editions sur Ner



Tomasz Sobieraj

Ogólna teoria jesieni

Tomasz M. Sobieraj

Ogólna teoria jesieni

Editions Sur Ner

Copyright © by Tomasz M. Sobieraj, 2010

Projekt okładki
autor

Fotografia autora
Dominik Figiel, 2010

Fotografie na okładce
Mud Cake

Redakcja
Wioletta Witak

Wydawca
Editions Sur Ner
ul. Szkutnicza 1
93-469 Łódź

Sprzedaż wysyłkowa
editionssurner@wp.pl

Wydanie I
ze zmianami
Łódź 2011

ISBN 978-83-928664-1-1

OD AUTORA

Pisząc *Ogólną teorię jesieni* daleki byłem od lirycznej spowiedzi czy powielania egzystencji na kartkach papieru. Również proste prawdy codzienności nie zajmowały mnie nadmiernie. Robiłem natomiast to, co lubię: słuchałem muzyki i na różne sposoby tropiłem prawdy własne, za narzędzie mając pisarstwo – bowiem przy spełnieniu kilku warunków koniecznych, jest ono doskonałym narzędziem poznania. Powieść ta jest zatem zmyśleniem, oczywiście z życia – także mojego – czerpiącym, ujętym w obrazy plastyczne, sugestywne, soczyste jak dojrzały owoc. Nie brakuje w nich także poezji – tej sztuki, która w swych najwartościowszych przejawach stoi u boku filozofii. I niech słowa Goethego z „Podróży włoskiej”, stanowią motto tej książki: „Pragnę odnotować rzecz dla mnie najważniejszą: książeczkę tę, podobnie jak inne, traktuje się jako s t r a w ę , ale jest ona właściwie m i s ą . Dla tego, kto nie ma co w nią włożyć, będzie ona pusta”.

Babie lato

Najbardziej lubił wrzesień. Szczególnie jego ostatnie dni, należące już bezwzględnie do jesieni, całkowicie i niedemokratycznie przez nią zawładnięte, wtulone w jej bujną kobiecość, odurzone bezgraniczną anarchią kolorów. Dni o chłodnych porankach, przesycone niemal erotycznym zapachem przejrzałych owoców, leżących w ogrodach na trawie. Ten czas estetycznej obfitości i dojrzałości ciągnął się zwykle do połowy października, a gdy nie pojawiały się przymrozki i chłodne północno-zachodnie wiatry, trwał do początku listopada, pozwalając mu sycić się walką kolorów z zapachami. Walką, co zawsze stwierdzał z satysfakcją, nigdy nie rozstrzygniętą, bowiem nawet jeśli jedna ze stron wydawała się pokonana, to tylko na chwilę, kilka godzin, by po upozorowanym odwrócenie powrócić ze wzmożoną siłą i toczyć niemy bój do ostatniego liścia, do ostatnich unoszących się w powietrzu atomów obezwładniającej woni. Dopiero nadejście atlantyckich niżów, niosących ze sobą kłęby ciemnoszarych chmur i strumienie gniewnych podmuchów, kończyło ten wyrównany i szlachetny pojedynek. Patrzył wtedy ze smutkiem, jak ostatni maruderzy porywani wiatrem z drzew kończyli krótki, barwny żywot heretyków w płomieniach stosów wznoszonych przez ponurych grabarzy i zęgał zapachy rozplywające się w eterycznej nicości, odchodzące dyskretnie i ostatecznie.

Zwykle od połowy września, gdy park prawie pustoszał i wakacyjny nastrój był już tylko wspomnieniem

utrwalanym w szkolnych wypracowaniach, przychodził codziennie wczesnym popołudniem i siadał na ławce, stojącej tuż przy brzegu stawu, nazywanego stawem Babiego Lata. Nazwa wzięła się od wyjątkowego w tym miejscu natężenia srebrnych nitki, którego nie mogli wytłumaczyć najwięksi specjaliści od przyrodniczego obyczaju, zdumieni niezgodną z ich naukowym poglądem bezczelnością natury, mającej za nic ustalone przez nich porządki i z niezwykłą swobodą podchodzącej do statystycznie ustalonych praw. Oburzenie naukowców udzielało się również łąbędom, stałym lokatorom akwenu, zwykle pyszniącym się swoją urodą, w bezdennym podziwiewie przyglądającym się swoim odbiciom w zielonej wodzie. Właśnie we wrześniu ptaki stawały się niespokojne, jakby przeczuwały nadejście niepokonanych hord babiego lata. Nerwowo pływały od chińskiego mostku nad kanałem do drewnianej przystani, wyczekując pajęczej awangardy. I zawsze były zaskoczone, bowiem lotne nitki pojawiały się zniemacka, frunęły znad usypiających już łąk za miastem, urządzając nad stawem coś na wzór zgromadzenia wojsk. Wtedy łąbędzie, początkowo oniemiałe ze zgorszenia, że ktoś próbuje pozbawić je hegemonii nad skrawkiem wody, usiłowały za pomocą trzepotania skrzydeł i przerażających dźwięków rozgromić błyszczącą w słońcu niespokojną armię. Po kilku dniach udawało im się, albo, jak twierdzą niektórzy znawcy entomologicznej etykiety, babie lato samo opuszczało przestrzeń powietrzną stawu, kierując się nad tereny bardziej sprzyjające niezakłóconej kontemplacji jesieni.

Siadywał na jedynej ławce w stylu wiedeńskim, zupełnie nie pasującej do pozostałych elementów parkowej architektury, utrzymanych w stylu chińskim. Zwykle czytał książki, co wydawało się w tych czasach czynnością

tajemniczą, niemal metafizyczną – szczególnie gdy dzień był chłodniejszy, wtedy bowiem zakładał na garnitur długi za kolana, wełniany płaszcz, kapelusz, a na ręce cienkie skórzane rękawiczki – wszystko czarne, co podkreślało jego wygląd starego kruka albo kapłana mrocznej sekty wyznającej starodawną wiarę, że istnieją książki mające siłę dynamitu, ale wybuchającego nie raz, a tysiące razy. Czasem przerywał lekturę, wyjmował małą lornetkę i uważnie, niemal w napięciu obserwował spadające z drzew liście, pyszniące się przedśmiertnymi barwami, bezwolnie poddające się bezdusznej grawitacji i delikatnym tchnieniom wiatru. Wtedy wyglądał trochę jak hazardzista oglądający wyścigi koni, który postawił wszystko na szlachetną klacz, posiadającą na koncie tyle samo gonitw wygranych, co przegranych. W tych chwilach wydawał się szczęśliwy; mimowolnie przybierał wyraz twarzy, jakby wygrał najwyższą stawkę, niekiedy zaś okazywał niezadowolenie zaciskając usta. Zdarzało się też, że przynosił ze sobą stary aparat fotograficzny i krążył z nim wokół stawu. Podpierał się statywem, wyszukiwał, jak się wydawało, najbardziej funeralnych tonów jesieni i zainspirowanych nimi najniezwykleszych przepoczwarzeń, rejestrując na kliszy wyłącznie degeneraty i nowotwory, skupiając się na wszelkich niedoskonałościach, jakby chciał z całą mocą zaprzeczyć własnej śmiałej wizji tej pory roku jako najbardziej dojrzałej, bujnej i kobiecej.

Przyjście Antychrysta

Urodził się w lipcu, na początku rozbuchanego banałem i wulgarnością lata, w małym szpitalu z czerwonej cegły, zbudowanym jeszcze w czasach naftowych lamp i chloroformu przez niemieckiego fabrykanta, by służył zastępom szwaczek i ich rodzin. Dzień był upalny. W sali, gdzie przyszedł na świat, mieszały się zapachy szpitala, rozgrzanej ulicy za oknem i pobliskiego parku. Wydaje się to niemożliwe, ale pamiętał ten upiorny czas, najgorsze w życiu kilkadziesiąt minut, gdy zrozpaczony, popychany brutalnymi skrętami macicy przesuwiał się przez mokrą czeluść w stronę światła, znajdującego się na końcu śliskiego tunelu. Wystawił ostrożnie głowę i przez zamknięte powieki dostała się do jego oczu i mózgu bolesna jasność, jaka później, w postaci tysięcy przeżytych ranków stanowiła codzienną alegorię narodzin. Po chwili doszedł go zapach pokoju – połączona swobodnie z wonią szpitala radosna, ale bezmyślna mieszanina letnich ingrediencji, stworzonych przez rozrzućną naturę dla konwencjonalnych istnień pozbawionych olfaktologicznej wyobraźni. Poczul silne szarpnięcie, po nim usłyszał brutalny dźwięk nożyc przecinających pępowinę. Krzyczał, by go nie rozdzielać, by wsadzić go ponownie do bezpiecznej, cichej pieczary, jednak spotkał się z okrutną obojętnością. Unoszony w powietrzu wylądował na wadze, potem, otarty ze śluzu i krwi, zawinięty w biały materiał, znalazł się w pobliżu nabrzmiałej piersi. Jej bliskość przyniosła mu całkowite uspokojenie. Instynktownie

sięgnął ustami do sutka i zaczął ssać, zdziwiony, że po chwili pojawił się nieznany dotąd słodki smak, po nim rozkoszne uczucie pełnego nasycenia, niebotyczne rozleniwienie, a na końcu przyjemna senność. To pierwsze, naznaczone kazirodztwem, ale absolutnie doskonałe erotyczne doznanie, ukształtowało jego przyszłe relacje z kobietami. Zawsze, gdy je rozebrał i nasycił wzrok nagością, najpierw chwycił w dłonie ich piersi i ssał namiętnie, przywołując tamto rozkoszne wspomnienie. Całą swoją istotę, wszystkie najgłębsze pokłady woli, ducha i pamięci koncentrował z największą mocą, by precyzyjnie odtworzyć i przeżyć jeszcze raz pierwsze oszołomienie kobiecością, by powtórzyć tę utraconą chwilę, gdy poczuł się bogiem, potężnym jak wezbrana, ciemna rzeka. Nigdy jednak tej chwili nie odnalazł. Piersi, ramiona i uda wszystkich kobiet okazywały się jałowe, dając mu jedynie złudzenie pełnej rozkoszy i nasycenia, pospolite samcze zadowolenie, po którym następowała mdła pustka, skłaniając go do coraz to nowych i zawsze bezpłodnych poszukiwań pełni szczęścia. Odnalezienie idealnej kobiety, w pełni od niego zależnej, oddanej każdą komórką ciała, dającej mu poczucie nieograniczonej władzy i jednocześnie bezpieczeństwa oraz tę trudną do opisaną pierwszą zapamiętaną rozkosz, stało się jego idée fixe. Wiedział, że pragnie niemożliwego, jednocześnie go poszukiwał, z zapamiętaniem godnym szaleńca topiąc się w krągłościach, nurzając się w oszalamiających zapachach dziewic i zwykłych prostytutek, heter i megier, w ostateczności nie gardząc nawet feministkami.

Nauka sikania

Dzieciństwo to czas najbardziej okrutny. To zwykle bolesny czas mozolnego kształtowania ciała i charakteru oraz tracenia złudzeń, czas koszmarnej bezradności i pełnej zależności, rozlanych niczym bezksiężycowa noc. To bezdenna otchłań, z jaśniejącym dalekim i nikłym światełkiem frywolnej dojrzałości, tej odległej gwiazdy, co do której jednak – jak to bywa z gwiazdami – nie ma pewności, że naprawdę istnieje. Nawet szczęśliwe dzieciństwo, w istocie szczęśliwym jest tylko pozornie, jak pozorny i beztroski jest spokój materii, kipiącej nieustającym ruchem atomów. Ten dla wielu najbardziej niewdzięczny, znieawidzony etap życia, zapewne jedynie przez skandaliczne niedopatrzenie losu nie zostawił w jego pamięci wielu wyraźnych wspomnień, poza tym jednym: upalne, letnie popołudnie, jasnoniebieskie niebo z białymi obłokami wykończonymi u dołu dystygowaną szarą obwódka, rdzawoczerwona droga przecinająca szmaragd traw, mały, drewniany most a przy nim kamień, różowy skandynawski granit, przywleczony kilkanaście tysięcy lat temu przez roztargniony lodowiec; on stoi przy tym plejstocenijskim podrzutku rzucając długi cień, wydaje się sobie wielki niczym ojciec; sika na ten samotny głaz, tak jak rano uczyła go w tym miejscu ciotka; żółtawa strużka rozbryzguje się na miriady migotliwych kropelek, kamień ciemnieje od wilgoci, a jego ogarnia duma; jest dorosły; biegnie do ciotki pochwalić się, że sam nasikał na kamień i że zawsze już będzie sikać tylko tam; ciotka i kuzynki

cieszą się razem z nim; w nagrodę dostaje cały talerz granatowych, leśnych jeżyn; zaszywa się z nim w ogrodzie i opowiada psu, staremu Arystofanesowi, jak został mężczyzną; pies słucha, chociaż ma szesnaście lat, tyle co kuzynki, więc wie już wszystko, co należy w życiu wiedzieć; przychodzi mąż ciotki, chudy, przygarbiony, z długimi, przedwcześnie posiwiałymi włosami; to największy demiurg świata; idą we trzech nad rzekę; wujek struga z wierzbowej gałązki fujarkę, uczy go grać i pali papierosy, puszczając kłęby dymu jak prawdziwa lokomotywa, a gdy zabrakło zapalek, za pomocą okularów rozpala ognisko; pieką jabłka nadziane na patyk, śmieją się z Arystofanesa, któremu do łapy przyczepił się rak; przychodzą kuzynki, niosą wiklinowy kosz pełen soczystych gruszek; wujek odchodzi do swoich zajęć, wiatr rozwiewa jego białe długie włosy, gdy idzie w stronę domu; dziewczyny kąpią się nago i wrzucają raki do wiadra; patrzy na ich piersi, małe, z różowymi sutkami; Arystofanes szczeka na wiadro ze skorupiakami, po chwili odchodzi do ważniejszych spraw, o jakich ludzie nie mają pojęcia, żyjąc w błogiej nieświadomości dwunogich istot; dziewczyny rozbierają go i idą razem do wody; nie boi się raków i będzie musiał wyjaśnić psu, że są to stworzenia całkiem niegroźne, jak motyle czy ptaki, mają tylko dziesięć nóg i chrzęszczące wapienne pancerze; fascynują go kasztanowe włosy na łonach kuzynek; gdy tulą go do siebie, odkrywa, że ich piersi są twarde; uśmiechają się, gdy usiłuje złapać ustami ich sutki; chce iść do swojego kamienia, ale one uparcie wskazują mu inny; odkrywa, że można sikać na dowolny kamień, na trawę, na rozżarzone węgielki dogasającego ogniska a nawet prosto do rzeki, co wydaje się najprzyjemniejszą ze wszystkich możliwości.

Herezja

Platon nie tolerował w swojej szkole żadnego *ἀγεωμέτητον*. Gdyby mnie stać było na założenie szkoły, nie tolerowałbym uczniów, którzy nie zajęliby się poważnie i wytrwale jakąś dziedziną przyrodoznawstwa.

Johann Wolfgang Goethe, *Podróż włoska*

W wieku czternastu lat, po pierwszym traumatycznym przeżyciu, jakim była śmierć rodziców w wypadku samochodowym, zamieszkał z dziadkami, na drugim końcu miasta, w dużym domu z ogrodem. Od kilku lat zajmował się już naukami przyrodniczymi, ale w tym czasie pojawiły się jego nowe, skrajne zainteresowania, filozofią i teologią. One to, wspierane przez przyrodoznawczą pasję, po paru latach studiów i poważnych lektur zaowocowały odkryciem, że droga do Prawdy jest wieloetapowa, i że wiara w Boga nie kłóci się z wyznawaniem wiary w potęgę nauki. Na początku tej drogi, jak napisał w jednym ze szkolnych wypracowań, znanym dzisiaj jako „Traktat o poznaniu rzeczywistości”, posługujemy się niedoskonałym narzędziem jakim jest rozum ścisły, analityczny, który, jako nieabstrakcyjny, pozwala interpretować świat tylko jednostronnie, w sposób prymitywny, zadowolający jedynie ludzi o umysłowości inżyniera lub ekonomisty. Drugi etap to rozum rozwinięty, czysta wyobraźnia. W nim pojawiają się pierwsze, jeszcze rozproszone, nieuporządkowane drobiny Prawdy

i jednocześnie rodzi się negacja przerażającej wizji mechanistycznego świata, zaludnianego przez wytwory ewolucji. Etap trzeci to olśnienie. Dostrzega się wtedy doskonałość konstrukcji Wszechrzeczy, a ponura, zimna i pogrążona w rozpacz Ziemia Ulro, na której żyjemy, okazuje się jedynie celowo niedoskonałym stanem przejściowym, niczym nieregularny złoty samorodek, osiągający formę idealną dopiero w rękach zdolnego jubilera. Z czwartym etapem na drodze do poznania, odpowiednikiem nirwany, wiąże się pewna niedogodność, mianowicie, nie można dojść do jego końca, bowiem wtedy człowiek stałby się równy Bogu. Stworzony jedną myślą przez Najwyższą Istotę na jej intelektualne podobieństwo, mógłby zapragnąć nieśmiertelności, a tę, w Wielkim Planie, Stwórca zarezerwował wyłącznie dla siebie. Jako jej namiastkę, najwytrwalsi wędrowcy otrzymują od Niego życie wieczne w postaci obdarzonej świadomością energii – co wydaje się sprawiedliwe.

Ta przyrodniczo-filozoficzna rozprawka, dzisiaj już stanowiąca kanon maturalnych lektur, wtedy spotkała się z chłodnym przyjęciem nauczycieli, należących albo do wyznawców prostackiego materializmu, albo naiwnej religii, i traktujących wszelkie odstępstwo od scholastycznych dogmatów z najwyższą surowością, jako ohydną herezję. On zaś okazał się heretykiem zarówno dla jednych, jak dla drugich, więc doświadczał niechęci całego grona pedagogicznego, którą zaraziła się nawet część jego rówieśników. Skazany demokratycznym wyrokiem szkolnego zgromadzenia ludowego na wewnętrzną banicję, zakończył formalną edukację na niepełnych dziesięciu klasach. Dziadkowie rozgoryczeni systemem oświaty nie zostawiającym miejsca na intelektualną niezależność, zabrali go ze szkoły i rozpoczął indywidualną naukę

w domu, przygotowując się do corocznych egzaminów i eksternistycznej matury pod kierunkiem ich przyjaciela, emerytowanego profesora filozofii, człowieka otwartego na wszelkie, szczególnie irracjonalne poglądy, zdeklarowanego liberała i humanistę, zdającego sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z nieprzeciętną osobowością. Przez kilka lat czytali klasyków literatury i filozofów, dyskutowali o ich poglądach, snuli rozważania na temat bezdroży humanistyki, rozmawiali o przeobrażeniach kultury powodujących aksjologiczny zamęt, o zaniku intelektualizmu i estetyzmu w sztuce, o współczesnym nieświadomym niewolnictwie nowoczesnych społeczeństw i wielu innych kwestiach, które w czasie schyłku cywilizowanego świata wydawały się najważniejsze. Języków uczył się sam, podobnie jak muzyki. Niektóre zagadnienia przyrodnicze i geograficzne omawiał z dziadkiem, botanikiem i podróżnikiem, badaczem kultury plemion południowej Sahary i odkrywcą czternastu gatunków wysokogórskich porostów, oraz zapalonym filatelistą, a matematykę i fizykę przerabiał z babcią, od lat z namiętnością zajmującą się przestrzeniami Banacha tudzież innymi, zupełnie oderwanymi od zwykłego życia problemami, zaś w wolnych chwilach oddającą się pasji wypiekania ciast i przygotowywania armii słoików z przetworami na zimę.

Zrywanie kwiatów

W tym barwnym czasie naukowych i filozoficznych dysput, w sierpniu, miesiąc po swoich osiemnastych urodzinach, przeżył inicjację seksualną. Niektórzy zaliczają do niej pierwszą świadomą masturbację, inni pierwsze pieszczoty i pocałunki, jeszcze inni prawdziwy coitus, zwykle z niedoświadczoną równolatką. On wszystko to już dawno miał za sobą – te słodkie doznania, jak choroby wieku dziecięcego lekkie i w zasadzie przyjemne, ale nie pozostawiające większych śladów, szybko ginące w zwiewnej niepamięci. Prawdziwe wtajemniczenie odbyło się za sprawą sąsiadki, pociągając obfitej czterdziestoletniej rozwódki, którą zastanawiająco często widywał lekko rozneglizowaną, drapieżną, prowokującą, przechodzącą majestatycznym, wyzywającym krokiem przez ogród, by w sposób niemal perwersyjny zrywać kwiaty do wazonu. Tak, zrywała je pięknie, nachylając się najpierw nad nieszczęśnikiem, wachając go, jednocześnie delikatnie pieszcząc palcami, później dotykała ustami jego płatków, a gdy nasyciła się kształtem i wonią ofiary, kuciała przy niej, powoli przesuwając dłonią w dół do nasady łodygi – jej nozdrza rozchyłały się wtedy jakby w bezbrzeżnej rozkoszy, nabrzmiwały wargi, przymykała oczy i w tym samym momencie jednym ściśnięciem paznokci wykonywała wyrok. Uwielbiał tę scenę, mimo że przechodziły go ciarki, gdy na nią patrzył, ukryty za firanką w swoim pokoju. Oddałby pół życia, żeby być tym zerwanym kwiatem, by chociaż kilka dni móc dogorywać

w wazonie patrząc na nią, nago chodzącą po mieszkaniu, by być przez nią dotykany. Od roku, gdy uświadomił sobie, że ją kocha, stanowiła jedyny temat jego marzeń erotycznych i związanych z nimi czynności.

Pewnego dnia, gdzieś na początku sierpnia, dziadkowie wyjechali do znajomych na wieś. Leżał na werandzie zatopiony w lekturze „622 Upadków Bunga”, gdy stanęła w wychodzącym na ich ogród oknie, i nachylając się tak, by widział jej dojrzałe, bujne piersi, kiwnęła do niego ręką. Przeszedł go słodki dreszcz i poczuł nadchodzące podniecenie, udał jednak, że niczego nie widzi, obserwując ją kątem oka zza książki. Zaszło mu w gardle. Kiwnęła jeszcze raz, drugą ręką przesuwając po piersiach i pieszcząc palcem sutki, które wyobrażał sobie jak wielkie salaterki z budyniem czekoladowym uwieńczone wisienką w karmelu. Odłożył książkę.

Zanim wyszedł, wziął prysznic, połał się obficie jedną z licznych wód kolońskich dziadka i po dziesięciu minutach, w nastroju stanowiącym trudną do okiełznania i niemożliwą do opisanego mieszaninę uczuć barbarzyńskiego zdobywcy i pokornego pielgrzyma, pojawił się w jej mieszkaniu – świątyni niepomamowanej, odurzającej pełni kobiecości, mitycznej siedzibie półboskiej istoty.

Wtajemniczenie

Pocałunki są dobre, jeśli nie ograniczają się do gęby [...] muszą dojść aż do organów płciowych, w przeciwnym razie nie będzie to prawidłowe całowanie.

Witkacy, *Listy do Hansa Corneliusa*

Stała opierając się biodrem o mahoniową komodę. Podeszedł i zdumiewająco dla nich obojga pewnym ruchem rozsunął poły jej batystowej sukni czy też szlafroka – zawsze miał problemy z nazywaniem damskiej garderoby. Przycisnął do siebie idealnie pełne, pachnące wanilią i pożądaniem ciało. Zdziwiona i podniecona jego szybkością, niecierpliwie rozpięła mu koszulę i spodnie. Osunęli się na dywan. Leżał, trzymając głowę na jej ciepłych, miękkich udach, a ona, nachylona, lekko gryzła jego wargi. Poczł smak mięty i czekolady, a przez ciało przeszła mu rozkoszna, lekka fala półsennego odrętwienia. Zamknął oczy. Ich języki dotknęły się, miękko, spokojnie, jak czułki koników polnych, które kiedyś obserwował na łące, gdy prowadzone odwiecznym zewem feromonów spotkały się wśród kwitnących traw. Po chwili odsunęła się; klęcząc, przesuwając wilgotnym, różowym koniuszkiem po jego ciele, aż dotarła do nabrzmiałej męskości. Delikatnie okryła ją pełnymi, ciepłymi wargami i smakowała, bez pośpiechu, rytmicznie, co jakiś czas wyjmując z ust i pieszcząc językiem, jednocześnie gładząc

tak, jak robiła to kwiatom w ogrodzie. Odwróciła się tyłem, i nadal nad nim kłęcząc, prawie usiadła mu na twarzy. Wąchał ją i niemal omdlewał z rozkoszy, oglądając najpiękniejszy widok świata, porównywalny tylko z Wielkim Kanionem. Lekko, trochę nieśmiało dotknął jej sromu, mokrego z podniecenia, pachnącego piżmem i cynamonem; z chłopięcą ciekawością rozchylił go palcami; widział, jak się powiększa, rozwiera w oczekiwaniu, odkrywając doskonały w odcieniu, perwersyjny róż; chłonał jej upojny, ciemny zapach dojrzałej kobiety, a ona jęczała i wiła się z jakąś zwierzęcą, ale łagodną namiętnością. Odwrócił ją przodem do siebie i nachylił, tak że wielkie, brązowe sutki nakryły mu twarz. Lizął je i ssał na przemian, aż stały się jeszcze twardsze i podobne do dojrzałych czereśni, jednocześnie pieścił ją od tyłu dłonią. Po chwili wyslizgnął się spod niej i wsunął język głęboko w mokrą i pełną piekielnych aromatów czelusć kłęczącej bogini. Obracał nim powoli sięgając jak najdalej i wysuwając, jednocześnie zachłannie spijał obfity, oszałamiający nektar. Zaczęła głośno jęczeć i pieścić się sama, więc na zmianę wchodził w nią językiem i gryzł delikatnie w palce, a gdy już nie mógł wytrzymać ogromnego napięcia, wsunął w nią pociemniały od pulsującej w żyłach krwi członek. Krzyknęła z rozkoszy; poczuł otaczające go wilgotne ciepło. Jego męskość nabrzmiała jeszcze mocniej, wypełniała ją całą, czuł, że za chwilę eksploduje, jednak usiłował panować nad sobą, poruszając się powoli, rytmicznie, delektując się każdym jej jękiem, i każdym swoim ruchem. Skończyli niemal jednocześnie, gwałtownie i spazmatycznie. Jeszcze przez chwilę czuł jej wewnętrzne pulsowanie. Nasyceni, osunęli się na dywan.

Madonna wśród skał

Zaraz na początku studiów filologicznych, które zgodnie z rodzinną tradycją odbywał na Sorbonie, pokochał anioła. Mógł się spodziewać różnych rzeczy, włóczęc się samotnie w każdy wtorek po salach Luwru, ale nie tego, że zakocha się w aniele. Zrozumiałby, gdyby zapalał szaleńczym uczuciem do Hendrickje Stoffels, uwiecznionej przez Rembrandta jako Betsabe w kąpieli. Bujna, obfita i pełna jak dojrzały ser niderlandzka chłopka, przemieniona wolą artysty w żonę Uriasza Hetyty, nadawała się doskonale na przedmiot uwielbienia. Betsabe zawróciła w głowie królowi Dawidowi, panna Stoffels Rembrandtowi, więc nie byłoby nic dziwnego ani dziwnego w tym, gdyby i on został wyznawcą tych krągłych wdzięków, półrealnej kwintesencji wyobrażeń młodego człowieka o najdoskonalszej i nieposkromionej kobiecości. Zrozumiałby też, gdyby jego uczuciami zawładnęła dziewczyna ze „Źródła” Ingesa. Nie przepadał co prawda za neoklasycyzmem i gardził mieszczańskim gustem, któremu hołdował malarz, jednak rzeźbiarskie zasady wykorzystane w tym obrazie nadały postaci monumentalność, zawsze pociągającą go z nieodpartą siłą; nie bez znaczenia był też wyjątkowy modelunek – delikatne przenikanie odcieni, dające niezwykle zmysłową, fizycznie przez niego odczuwaną miękkość. Tak, Inges celował w kobiecych aktach, może nieco sztywnych, ale niewątpliwie umiał malować. On jednak zakochał się w kruchej postaci o androgynicznej powierzchowno-

ści, siedzącej na obrazie Leonarda da Vinci „Madonna wśród skał” u stóp Matki Boskiej. Genialne dzieło, o niezrównanych walorach estetycznych i – co na obrazach o tematyce religijnej zdumiewa szczególnie – pewnej ulotnej zmysłowości.

Półmrok. Stężałe, zielononiebieskie niebo zajmuje niewielki skrawek na górze płótna i stanowi tło dla skromnej, brunatnooliwkowej roślinności, naszkicowanej lekko, jakby niedbale. Surowości ciemnego, skalistego, niemal monochromatycznego krajobrazu, złamanego jedynie jasnym chłodem wodosпадów i złocistym brązem liści wawrzynu rosnącego z lewej strony, przeciwstawione są pełne ciepła i piękna postacie Marii, Dzieciątka, małego świętego Jana Chrzciciela i anioła. Cisza. Nawet woda milczy, jakby zaklęta w lód, przejęta rozgrywającą się sceną. Uwodzicielski spokój. Pociągnięcia pędzla tak subtelne, że nie dające się odróżnić, niezrównana, właściwa tylko Wielkiemu Leonardowi miękkość. Niezwykłe, dalekie od naturalnych efekty świetlne, typowe raczej dla zaawansowanej techniki fotograficznej czy filmowej, nadające postaciom nierzeczywisty wygląd – tak jakby świeciło punktowo nie jedno, lecz kilka dodatkowo jeszcze przefiltrowanych słońc. Przejrzysty modelunek. I ta twarz, twarz bezskrzydłego anioła, poważna ale promienna, z tajemniczym uśmiechem, typowym dla malarstwa Mistrza. Tylko negując rzeźbiarską niemal surowość początków Quattrocenta i wprowadzając metodę sfumato, znaną z „Giocondy”, mógł osiągnąć tak cudowną delikatność rysów twarzy, później nieudolnie naśladowaną przez pokolenia mniej lub bardziej znanych pacykarzy. Wspaniała synteza – widoczne podejście do tematu artysty i jednocześnie człowieka nauki, suwerennego intelektualnie myśliciela, wolnego duchem samouka, nie jakiegoś

zwykłego malarza po akademii. Takie dzieło, niezrównane w swej wielkości, mógł stworzyć jedynie człowiek ogromnej wiedzy, o silnej indywidualności, posiadający nieposkromioną konwencjami wolę mocy. Tylko tacy wchodzą na szczyty i stąpają po nich z lekkością bogów.

Anioł z obrazu Leonarda był z nim nieustannie. Ścianę w salonie mieszkania wynajmowanego przy zacisznej Rue Saint-Severin zawiesił powiększonymi fragmentami obrazu – fotograficznymi reprodukcjami naniesionymi na płótno, oprawionymi w szerokie, pozłacane i patynowane ramy, kupowane za bezcen na Marché aux Puces. Nad kominkiem, na wprost dużego okna, umieścił dosyć dobrą, nieznanego autorstwa, wykonaną z dużą starannością kopię całości znalezionej w antykwariacie. Ogarnięty namiętnością, nie licząc się z kosztami, sprowadził do niej nowe ramy, aż z Włoch, od najlepszego ramiarza we Florencji. Miniatury „Madonny wśród skał” wisiały w łazience, sypialni, nawet w kuchni, tak że mógł przebywać z uwielbianą istotą cały czas. A w każdy wtorek odwiedzał oryginał w Luwrze. Mijał pośpiesznie stelę z Kodeksem Hammurabiego, omiatał wzrokiem srebrną wazę Entemeny i siedzącego egipskiego skrybę. Zatrzymywał się na kilka minut przed Wenus z Milo, kontemplując z upodobaniem jej idealne plecy i odsłonięte lekko pośladki, zawieszając wzrok na twardych piersiach i doskonałym, pięknie ukształtowanym mocnym brzuchu, by ponownie śpiesznym krokiem iść przez sale, mijając „Zbuntowanego niewolnika” Michała Anioła a za nim wszystkie te genialne przecież, ale wtedy pozbawione dla niego uroku szaleństwa pełnej, bezgranicznej miłości dzieła Giotto, van Eycka, Carpaccia. Zwalniał nieco przy „Ukrzyżowaniu” Mantegnii i „Ślepcach” Starszego Bruegela, które zawsze uznawał za wyprzedzające epokę

niedoścignione arcydzieła, oczywisty przejaw najwyższego geniuszu i suwerennego intelektu, posiadany przez niewielu artystów. Idąc dalej prychał wzgardliwie na „Portret dziewczyny” Cranacha Starszego, nie dość, że technicznie nieudolny, to przedstawiający paskudną, pokrzywioną aseksualną blond karlicę. Kiwał ręką zniewieściałemu na autoportrecie Dürerowi, i dopiero przed „Giocondą” Leonarda zwalniał krok, by stanąć na dłuższą chwilę przy innym dziele Mistrza, „Świętej Annie Samotrzcę”. Wydawało mu się, że obie kobiety, namalowane z cechami rodzącego się już manieryzmu, są niezwykle podobne do jego anioła. Do tego nałożenie postaci jedna na drugą i niemożność określenia źródła światła na obrazie sprawiały, że Anna i Maria nabierały nierealnego, jakby nieziemskiego charakteru, który tak wysoko cenił w odtwarzającym rzeczywistość malarstwie figuratywnym i uważał za przejaw najwyższego artyzmu i rzemieślniczego kunsztu – dwóch cech według niego właściwie nie występujących u abstrakcjonistów. Gdy patrzył na ten obraz, zawsze zdumiewała go nadmierna długość palców u stóp postaci. Zakładał, że to skutek dziwactwa Leonarda, może jakiejś skrywanej namiętności, niegroźnego zбочenia, co czyniło mu postać artysty jeszcze bliższą, niemal braterską w swej nieakceptowanej odmienności. Te nazbyt długie palce odczytywał jako tajemny znak, wskazówkę dla przyszłych niezależnych twórców, dyskretny sygnał, że w istocie nie są sami, ale wspólnym, cichym wysiłkiem, od pokoleń wznoszą w skupieniu budowlę ogromną i na wysokiej skale – zamek sztuki czystej, nie do zdobycia przez dzikie hordy artystycznej nieudolności, zwanej często awangardą.

W końcu zasiadał przed najwspanialszym dziełem. „Madonna wśród skał”. Początkowo onieśmiałała go nieco

obecność Marii na obrazie, powoli jednak przyzwyczał się do niej a po jakimś czasie zupełnie przestał dostrzegać, więc schadzki z aniołem nabrały charakteru intymnego, początkowo jedynie intelektualnego kontaktu, przechodząc powoli w zmysłowy, jednak siłą rzeczy bezdotkowy. Niemożność chociażby muśnięcia jego miedzianych loków czy welinowej skóry sprawiła, że zaczął sobie wyobrażać dotykanie, wizualizować i sensualizować je tak realistycznie, że niekiedy miał wrażenie, jakby anioł zstępował z płótna i zasiadał obok, by razem z nim patrzeć w milczeniu na obraz. Czuł ciepło jego ciała, dotyk smukłych palców, wilgoć warg, zapach skóry w sposób tak rzeczywisty, że niekiedy osiągał stan najwyższego uniesienia, typowy dla ludzi ogarniętych bezgranicznym uczuciem miłości. Wtedy lzy napływały mu do oczu i wstrząsały nim omdlewająco-słodkie dreszcze, a eksplodujące w głowie myśli tworzyły natchnione poetyckie frazy, dorównujące najwyższym osiągnięciom romantycznej liryki. Półprzytomny sięgał wtedy po oprawiony w granatową skórę notes i zapisywał je, by nie uronić ani jednej sylaby. Zdarzało się, że błądząc po nieskończonych pokładach szaleńczej uczuciowości, całkowicie tracił świadomość na kilka chwil, czasem na dłużej, kilkakrotnie nawet osuwał się z ławki na podłogę, co przywoływało ospałych strażników, przyzwyczajonych do cotygodniowych wizyt ogarniętego namiętnością młodzieńca. Sadzali go wtedy z powrotem albo odprowadzali do wyjścia, jeśli pora była już późna. Ten graniczący z neurozą stan upojenia trwał dwa lata, w czasie których obcował erotycznie jedynie z kobietami i chłopcami przypominającymi fizycznie anioła z obrazu. Początkowo uważał to za zdradę. Miewał wyrzuty sumienia, z czasem jednak coraz mniejsze. Częstotliwość wizyt w Luwrze

stopniowo malała. Na trzecim roku studiów zdarzało mu się nie zaglądać do muzeum nawet przez kilka tygodni, na czwartym pojawił się w sumie może kilkanaście razy, z czego trzykrotnie nawet nie zaglądając do anioła – poznawał bowiem malarstwo Gaugina i van Gogha. Na piątym roku pisał pracę magisterską o racjonalistycznym epikureizmie w poemacie „De rerum natura” Lukrecjusza, która pochłonęła go bez reszty. Wtedy też pozbył się wszystkich miniatur i reprodukcji „Madonny”, zostawiając tylko zakupioną w antykwariacie kopię.

Kongo

He cried in a whisper at some image, at some vision – he cried out twice, a cry that was no more than a breath – „The horror! The horror!”

Joseph Conrad, *Heart of Darkness*

Rzeka połyskiwała różowozłotymi cętkami, delikatnymi emisariuszami zachodzącego słońca, przedzierającymi się nieufnie, niemal trwożliwie przez gęstwinę liści i padającymi bezwładnie na drobne fale. Mroczna, gęsta woda, pachnąca czymś nieokreślonym, jakąś tajemniczą mieszaniną deszczowego równikowego lasu, brunatnego mułu i trupów, trzech podstawowych składników krajobrazu, sunęła wolno i niewzruszenie szerokim korytem, mrużąc z lekkim niezadowoleniem. Miał wrażenie, jakby poszczególne świetlne łuski na grzbietach fal wydawały każda swój własny dźwięk, anarchicznie, bezładnie, bez widocznego zamysłu. A jeszcze przed chwilą, gdy leżał z zamkniętymi oczami wyciągnięty na drewnianym pomoście, przypominały bardziej pogodne allegro vivace pszczoł żerujących pośród kwiatów w ogrodzie – uporządkowane, systematyczne, celowe, dające razem ton radosny, potężny i piękny, przekładalny na jakieś nienazwane bogactwo. Bogactwo może nie tak wspaniałe jak to wytworzone przez pracowite owady, ale równie życiodajne. Było to jednak złudzenie, wynikają-

ce zapewne z głęboko zakorzenionych w nim życzeń i wspomnień, w najlepszym razie akustyczny miraż. Usiadł, zapalił papierosa i wsłuchał się z uwagą w dionizyjską muzykę żywiołu. Tak, bez wątpienia, rzeka grała ciemną, majestatyczną symfonię śmierci, rozbudowaną wokół monotonnych motywów allegro maestoso, nie mającą nic wspólnego z jasną muzyką życia, a jedyne dobro, jakie ofiarowywała, to niesione z prądem kłody, gałęzie, oraz całe kępy wyrwanej lasowi roślinności, przypominające miniaturowe wyspy. Między nimi uwijały się ryby, co prawda w nieprzebranej obfitości, ale przeważnie drobne i niejadalne, dobrze za to znane akwarystom i stanowiące barwny przedmiot ich pożądania, tutaj pozbawiony wartości. Jedyne naprawdę cenny wyjątek stanowiły ogromne, długie na półtora metra i blisko siedemdziesięciokilogramowe, uzbrojone w osiemnaście potężnych i ostrych zębów Goliaty Tygrysie.

Opowiadano mu, że we wnętrzościach tych rybich monstrów znajdowano klamry od wojskowych pasów, niestrawione szczątki ludzkie a nawet złote zęby tkwiące w pogruchotanych czaszkach nieszczęśników, którym nie udało się wymknąć z rąk żołdaków jakiegoś samozwańczego umundurowanego kacyka, roszczącego sobie prawo do skrawka lasu – serca ciemności, obfitującego w drogie gatunki drzew, kobalt, cynk, złoto, diamenty czy inne skarby. Dla nich to, dla desek, skał i kamieni, międzynarodowe koncerty gotowe były podtrzymywać nieustający stan wojny plemiennej wszystkich ze wszystkimi. Zyskiwały na tym także Goliaty. Ryby te pełniły bowiem funkcję służb sanitarnych – zapobiegały epidemii, zjadając trupy wrzucane do rzeki. W ten sposób mięso nie gniło i nie stawało się siedliskiem bakterii. Kilkakrotnie też słyszał, że niekiedy, aby

oszczędzić amunicję a przede wszystkim dostarczyć sobie wyszukanej rozrywki, zapędzano jeńców do wody. Stawali w szeregu, zanurzeni po szyję, a żołnierze robili zakłady, który pierwszy zniknie w szczękach Goliata albo jaka będzie kolejność tego wyrafinowanego zabijania. Nazywano to afrykańską ruletką. Zwykle pierwsza głowa zniknęła po sześciu - ośmiu minutach gry, następne w ciągu kolejnych pięciu minut. Kiedy ryby nie były głodne, nadgryzały tylko jeńców, wyszarpując im fragmenty ciała lub pozbawiały ich kończyn. Wtedy żywe ludzkie kadłuby spływały rzeką, często ciągnąc za sobą wnętrzności i wzbudzając wesołość zebranych na brzegu oprychów w mundurach. Zdarzało się, że jakiś bardziej litościwy strzelał do krzyczącego rozdzierająco strzępu człowieka, skracając jego męki, ale było to raczej źle widziane miłosierdzie.

Z czasem ryby tak polubiły smak ludzkiego mięsa, że gromadziły się w pobliżu wiosek i atakowały kąpiące się dzieci, kobiety robiące pranie i dorosłych mężczyzn płynących łodziami. Ludzie stanowili łatwą i pożywną zdobycz, więc Goliaty rozmnażały się szybko i osiągały rozmiary, jakich dotychczas nie notowali ichtiolodzy. W środkowym biegu rzeki, koło Kisangani, złapano sztukę mierzącą dwa metry długości i ważącą sto jedenaście kilogramów. W jej żołądku znaleziono nadtrawioną rękę, na której znajdował się zegarek, ciągle chodzący. Wędkarz, obywatel jednego z zachodnioeuropejskich krajów, zabrał go na pamiątkę, podobnie jak spreparowaną czaszkę ryby z piętnastocentymetrowymi zębami.

Sam też wybrał się kiedyś na Goliaty. Kierowała nim wtedy ta infantylna czy może romantyczna, męska potrzeba

doznania wielkiej przygody, plemienny przymus walki, sprawdzenia się, jakiś atawistyczny imperatyw wydzielenia i smakowania adrenaliny. Wynajął w Hembe łódź i zaopatrzone w wędkarskie akcesoria oraz wiadro ze świeżymi krowimi wnętrznościami, popłynął z prądem rzeki na zachód. Odradzano mu wyprawę w pojedynkę, postanowił jednak – niczym bohater Hemingwaya – samotnie zmierzyć się oko w oko z wielką rybą, bez pomocy miejscowych rybaków. Nie był przecież tchórzem.

Płynął powoli środkiem rzeki, poszukując miejsc przy brzegu, gdzie uspokaja swój i tak dosyć leniwy tutaj nurt i prawie zamiera, jakby w oczekiwaniu na dramatyczne wydarzenie. W końcu zobaczył z daleka zielonobrunatną płachtę spokojnej wody, nad którą wznosiły się gigantyczne kapokowce i drzewa okumé. Wyłączył silnik i uniósł śrubę, by nie zaczepiła o gałęzie czy wodorosty, uniemożliwiając mu ewentualną ucieczkę. Dryfował, lekko tylko sterując wiosłem, w kierunku wewnętrznej, jakby uśpionej części zakola rzeki, tworzącej małą zatokę. Spojrzał na niebo. Powoli zaczynały gromadzić się na nim chmury, zapowiadając zenitalny deszcz. Miał jeszcze kilka godzin do ciepłej ulewy. Pochylił głowę, siedząc na drewnianej ławeczce, i zrobił to, czego nie czynił od lat, i czego się po sobie zupełnie nie spodziewał – pomodlił się, prosząc o szczęśliwy powrót do miasta, ze zdobyczą, lub nawet bez niej.

Łódź kołysała się lekko na prawie martwej wodzie. Mokre powietrze wrzało. Głuchy i monotony dźwięk równikowego lasu, napięty przed deszczem jak struna, przerywały co kilka chwil wrzaski małp. Temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Spod kapelusza ściekały mu strużki potu, koszula była mokra. Wstał. Rzucił do wody krowie jelita i pociętą na kawałki wątrobę. Odczekał

chwilę i dorzucił soczyste płaty płuc. Na koniec wylał do rzeki krew, która zgromadziła się na dnie wiadra. Wyplukał je dokładnie. Za drugą burtą umył ręce i twarz. Otworzył butelkę Coca-Coli. Zapalił papierosa, kilka razy zaciągnął się łapczywie dymem i wyrzucił niedopałek. Na potężny, potrójny haczyk nadział kilogramowe kawałki świeżej wołowiny i wrzucił do wody. Ponownie się umył, klęcząc na dnie łodzi. Usiadł i zaparł się nogami o drugą ławkę. Grubą, krótką wędkę trzymał mocno w rękach. Nie przymocował jej do rufy – postanowił stoczyć uczciwą walkę z jedną z pięciu najgroźniejszych ryb świata. Czekał.

Szarpnięcie było gwałtowne. Mimo że każdy nerw, każde ścięgno i mięsień jego ciała trwały od kilku minut naprężone i przygotowane na atak, dał się zaskoczyć. Wbrew oczekiwaniom, ryba nie zainteresowała się pływającymi na powierzchni małowartościowymi resztkami, czym dałaby znać o swojej obecności. Zwabiona zapachem krwi, rzuciła się od razu na czyste mięso. Haczyk na pewno już tkwił w paszczy zwierzęcia, bo linka naciągnęła się i usztywniła. Łódź zaczęła kręcić się wokół własnej osi a po chwili ruszyła, niestety z prądem, ciągnięta przez niewidzialne monstrum. Nie miał czasu, żeby zanurzyć śrubę i uruchomić silnik. Zaczęła się walka. Ryba płynęła chaotycznie, raz skręcając w lewo, raz w prawo, rozwścieczona wbijającym się coraz silniej w podniebienie haczykiem. Wykorzystał moment jej zawahania czy może osłabnięcia i przekręcił łódź bokiem do nurtu, by stawiała większy opór. Żeby jej nie przewrócić, przechylił się mocno do tyłu, siedząc na burcie. W tej chwili potężny, srebrzysty pocisk rozerwał rzekę, niczym rakietą wystrzelona z okrętu podwodnego. To był Goliat Tygrysi. Widział go przez jedną, może dwie sekundy, ale to wystarczyło, żeby ocenić jego wielkość. Przynajmniej półtora metra długo-

ści, sześćdziesiąt – siedemdziesiąt kilogramów walczących o życie, rozjuszonych i tępych mięśni. Potwór. Szczęki i zęby, przy jakich rekin to łagodny karp w stawie cesarskiego ogrodu.

Po półgodzinnej szarpaninie ryba instynktownie zawróciła w górę rzeki, do miejsca, które знаła najlepiej. Wykonała szybki zwrot. Łódź skręciła gwałtownie, niemal się wywracając. Zaparł się nogami jeszcze mocniej. Grube, niebieskozielone żyły na czole rozsadały mu skórę. Z trudem ustawił się rufą pod prąd – zwierzę musiało teraz holować ciężar stawiający znacznie większy opór, co dawało nadzieję, że się szybciej zmęczy. Mijały długie minuty zawziętego pojedynku. Tracili siły. W coraz dłuższych przerwach między starciami powoli zaczął zwijać linkę, centymetr po centymetrze, wykorzystując każdy, najkrótszy nawet moment osłabnięcia Goliata. Po godzinie dzieliło ich zaledwie kilka metrów, trzy, może cztery. Widział go teraz dokładnie, z każdą chwilą coraz lepiej. Ziejące nienawiścią – nie cierpieniem – stalowoszare oczy rozpoznawały w nim już nie ofiarę, ale wroga, nawet jakby zdumione, że ta słaba dwunożna istota, zwykle służąca za pokarm, odważyła się na wtargnięcie do ciemnego, zakazanego królestwa i śmiała podnieść rękę na jego absolutnego władcę. Upłynęła kolejna godzina zmagania, już powolnych, resztkami sił. Przyciągnął go bliżej, tak blisko, że mógł dotknąć pulsującej skóry. Zdziwił się, że ddychali w jednym rytmie. Położył mu rękę na głowie, czule przesunął ją po grzbiecie. Obaj potwornie zmęczeni, popatrzyli na siebie, niedowierzająco i z szacunkiem, jak dwaj równorzędni wojownicy, z których jeden miał więcej szczęścia. Wahał się, czy nie przeciąć linki w akcie ulaskawienia, jednak król rzeki nie przeżyłby z wbitym haczykiem, bał się natomiast

wciągnąć rybę do łodzi. Nie miał na tyle zaufania do przeciwnika, by wyjąć z jego szczęk haczyk i go wypuścić – potężne zęby, niczym kły tygrysa, ale wielokrotnie liczniejsze, wzbudzały respekt, i nie chciał stracić ręki.

Przyciągnął zwierzę jeszcze bliżej. Nachylił się. Czuli swoje oddechy. Nie zobaczył w oczach błagania o litość. Wbił nóż w srebrzyste ciało.

Przez kilka dni było mu trochę głupio z powodu zabicia Goliata. Do tego nie znalazł w jego wnętrznościach ludzkich szczątków, co go głęboko rozczarowało. Chodził za to po Hembe w glorii sławy, która powoli rozprzestrzeniała się w dół i w górę rzeki, a jego zdjęcie z rybą znalazło się nawet w środkowoafrykańskiej prasie. Nic dziwnego. Le Roi du Congo – Król Kongo, bo tak nazwano jego zdobycz, miał około ośmiu lat, mierzył metr sześćdziesiąt cztery i ważył siedemdziesiąt trzy kilogramy. Nie był największym znanym egzemplarzem *Hydrocynus goliath*, ale mieścił się w ścisłej czołówce. Jego szkielet podarował muzeum przyrodniczemu w Kinszasie, gdzie można podziwiać go do dzisiaj. Sobie zostawił na pamiątkę jedną twardą łuskę. Talizman, z którym nigdy się nie rozstawał.

Siedział na pomoście, wspominając pojedynek z Królem Kongo. Najlepiej pamiętał swój strach, tuż po wrzuceniu do wody przynęty, a później chłodne, przekrwione z wysiłku, zdumione oczy ryby, i ich lekkie, bolesne zmrużenie, gdy wbijał długi nóż w jej pierś. Goliat Tygrysi. Co za głupiec tak nazwał rybę, skoro w Afryce nie ma tygrysów. Pewnie jakiś biały, zadufany w sobie półgłówek. Nienawidził tych awanturników i europoidalnych bogatych chamów, uważających się za lepszych od całej

reszty ludzkości i od setek lat traktujących świat jak swoją własność. Na szczęście, kres ich panowania zbliżał się wielkimi krokami.

Zapadła noc. Gwałtownie, niczym cięcie gilotyny. Mroczna symfonia rzeki zamieniła się początkowo w namiętą, później senną pieśń, by stopniowo stawać się tęskną kołysanką, którą powtarzały – już w innej tonacji – las i zwierzęta. Słuchał coraz delikatniejszej nocnej muzyki. Fale lizały jego stopy, niecierpliwie, jakby rozdrażnione, że nie chce zanurzyć się cały i pozwolić im posmakować swojego ciała.

FED

Kupił go na pchlim targu. Być może podobała mu się dziewczyna, rosyjska emigrantka, sprzedająca pamiątkę po swoim ojcu, a być może chciał osiąść kolejny przedmiot do swojej kolekcji rzeczy pięknych i całkowicie zbędnych. Nieważne. Przyniósł go do domu, z pedantyczną dokładnością wyczyścił z niewidocznych pyłków i postawił na stole, by sycić się jego urodą. Mechanizm. Tak, ale z duszą, i z historią, jak stary zegar. Sprężyny, śrubki, koła zębate, metal i szkło, wszystko doskonałe, trwałe i precyzyjne, można rzec wyniosłe w swej elegancji, niezależności i twardej pewności dawnych rozwiązań. Przyglądał mu się ze wszystkich stron, wachał i dotykał. Ustawiał światło stołowej lampy, by wydobyć najsubtelniejsze walory jego metalowego ciała. Przesuwał pokrętła, wsłuchiwał się w delikatny, elegancki szmer jedwabnej migawki, ustawiał ostrość precyzyjnym dalmierzem, z lubością patrzył w chłodne oko obiektywu z lantanowego szkła. Nie traktował poważnie jego użytkowego w istocie przeznaczenia. Stanowił dla niego obiekt czysto estetyczny.

Po jakimś czasie zainteresował się historią. Okazało się, że nazwa FED to skrót od nazwy fabryki noszącej imię Feliksa Edmundowicza Dierżyńskiego, polskiego arystokraty wsławionego rewolucyjną działalnością u boku Lenina, i twórcy CzeKa – organizacji występującej w późniejszych dziejach pod wieloma nazwami, z których najbardziej znane to GPU, NKWD i – chyba najlepiej –

KGB. Fabrykę założyło GPU w grudniu 1927 roku, jako hołd złożony Dzierżyńskiemu, kilkanaście miesięcy po jego śmierci. Pracowały w niej dzieci, w ramach eksperymentu Antona Makarenki, który uważał, że należy łączyć naukę z pracą i wojskową dyscypliną. Od 1932 roku rozpoczęto tam niewielką, doświadczalną produkcję aparatów fotograficznych, kopii niemieckiego aparatu Leica, a od 1934 zaczęto je wytwarzać seryjnie. Część sprzętu trafiała do służb specjalnych, wojska i innych resortów mundurowych, głównie jako narzędzie pracy, ale też jako nagrody. I taka właśnie nagroda za wzorową służbę w KGB – o czym informowała mosiężna plakietka na skórzanym futerale – stała teraz na jego biurku.

Pierwszy właściciel FED-a, kapitan Mikołaj Aleksandrowicz Szestow, wygrawerował swoje nazwisko, stopień i – zdumiewająco niefrasobliwie – adres domowy, po wewnętrznej stronie tylnej, zdejmowanej ścianki aparatu. Kim był Szestow? Może krewnym Lwa Szestowa? Kto wie. Z wyglądu to najpewniej średniego wzrostu szatyn, szczupły, o ciemnych, nieco dzikich oczach człowieka stepu, znający doskonale niemiecki i wszelkie tajniki wywiadowczego rzemiosła, obejmujące niewątpliwie także różne wyrafinowane sposoby torturowania i zabijania. U jego boku żona, nauczycielka rosyjskiego w gimnazjum. Nie, lepiej w liceum, gdzie czyta wiersze Puszkina i Lermontowa, stojąc oparta o biurko, a zakochani w niej młodzieńcy liczą piegi na jej policzku, oświetlonym złotawym październikowym słońcem. Samochód – marki Moskwicz, mieszkanie w lepszej dzielnicy, dacha za miastem, wakacje w Soczi nad Morzem Czarnym. I fotografie. Fotografie roześmianej, małej Katii na plaży, robione tym właśnie aparatem. Później Katia w przedszkolu, Katia w szkole, Katia na studiach.

Pomiędzy tymi etapami wyznaczonymi przez Katię, rodzinne spotkania, zdjęcia Moskwy, jakieś inne wakacje – na Kaukazie, Krymie, nad Bajkałem. Służbowy wyjazd do Budapesztu, Pragi. Ermitaż i kolekcja sztuki scytyjskiej, którą się interesował. Żona, pewnie Nadia... to takie piękne imię... Nadia w kostiumie kąpielowym na brzegu Ładogi, Nadia w mieszkaniu na nowej kanapie, Nadia w uwodzicielskiej, niemal prowokacyjnej pozie w ogrodzie u swoich rodziców w Dubnej...

To wszystko pewnie widział jego FED. Rejestrował ulotne obrazy, zapisywał skromne ułamki sekund w srebrnym, nieuporządkowanym ziarnie emulsji, ale i w sobie, głęboko w swoich wiecznie ruchliwych atomach metalowej konstrukcji. Kawalki życia, ulotne obrazy, nieustannie krążące pakiety informacji przechodziły przez szkło obiektywu, i gdzieś w nim też musiały zostać, niewidoczne, ale na pewno istniejące, jak duchy, jak cała historia. Materia jest pamiętliwa, wierzył w to mocno. Również tak zwana materia nieożywiona – bo jej martwota jest tylko pozorem, a to, że trwamy w naiwnym przekonaniu o jej bezduszości i stanie absolutnej śmierci, jest tylko dowodem naszej intelektualnej niemocy, pospolitej nieumiejętności szerokiego, niekonwencjonalnego pojmowania, i niezrozumienia, że życie może przybierać formy pozabiologiczne. Każda substancja jest formą życia. Co więcej, zapamiętuje otaczającą ją czasoprzestrzeń, utrwała każdy jej detal, nie umiemy tylko tego tajemnego, najtrudniejszego kodu odczytać. Gdybyśmy to potrafili, poznalibyśmy całą przeszłość, może nawet dotarlibyśmy do Pierwszego Gestu Stwórcy i dalej, do Jego Pierwszej Myśli. Ale kto wie, może kiedyś człowiek pokona bariery swojego umysłu i z muchy tłukącej się o szyby obory i brzęczącej z zachwytem nad

swoją swobodą i mądrością, zamieni się w szybującego wysoko orła? Nie, to raczej nierealne. Właściwie absurd. Wielki Plan na pewno nie przewiduje tego, żeby ludzie stali się bogami. Przynajmniej nie tacy, jakimi są dzisiaj – kulturowe bydło w kagańcu form i na łańcuchu jakiegokolwiek scholastyki nie może zostać nawet nadczłowiekiem, a co dopiero bogiem. To byłaby rażąca niedoskonałość Planu i niedopatrzenie Najwyższego, a to rzeczy z założenia niemożliwe. Niemniej, uważał, że jego koncepcja pamiętliwej materii i pozabiologicznych form życia jest dosyć niebanalna, chociaż na razie, przy ciasnocie ludzkich umysłów, nie do udowodnienia. Zresztą, nie potrzebował dowodu, wystarczała mu wiara. Lecz jakże byłoby wspaniale, gdyby nie tylko on, gdyby cała ludzkość żyła w świadomości, że egipskie piramidy pamiętają swoich budowniczych, ich dotyk, smak potu, kolor skóry, że można z nimi, piramidami, rozmawiać? Albo że ściany domów zapamiętują mieszkających w nich i przechodzących obok ludzi, a nawet przejeżdżające samochody? To byłoby największe odkrycie, warte wszelkich nagród, pieniędzy i zaszczytów – nieożywiona materia skrywająca zaszyfrowane odbicie historii, jej najczystsze źródło. A jakie miałyby to znaczenie praktyczne, na przykład w kryminalistyce czy chociażby w zwykłych sprawach sądowych, na przykład rozwodowych. Kamień, biurko czy wieczne pióro jako bezstronny, całkowicie obiektywny świadek. Niewątpliwie świat byłby lepszy, a już na pewno bardziej uporządkowany, gdyby znaleźć sposób porozumienia się z przedmiotami, uważanymi powszechnie za martwe.

Jego aparat z pewnością miał w chłodnej strukturze metalu zapisane całe swoje życie i cały otaczający go świat, od linii produkcyjnej w fabryce

w radzieckim wtedy jeszcze Charkowie, przez życie rodziny Szestowów, do otwartej walizki Katii na Marché aux Puces.

Tak. Zdjęcia w Dubnej, gdy rodzice pojechali nad jezioro, a oni zostali sami, były ostatnimi, jakie zrobił FED-em kapitan Szestow. Później, w listopadzie, nagła śmierć Nadii. Od tego czasu aparat leżał bezużyteczny w szafce pod telewizorem. Kilka długich lat w uśpieniu. Znalazła go Katia i zabrała ze sobą w podróż życia po Europie. Katia. Pamiętał tę dziewczynę, jej miękki i śpiewny rosyjski akcent, proste, ciemnoblond włosy, uśmiech jak u etruskiej rzeźby - tylko oczami, wąskie dłonie, długie palce, płaszcz z postawionym kołnierzem. Miała w sobie ten dyskretny blask zmysłowości, jak kobiety na obrazach Quattrocenta. Nigdy już jej później nie spotkał, chociaż często przychodził na pchli targ. Chciał z nią porozmawiać, poznać prawdziwą historię aparatu i rodziny Szestowów. Ale kto wie, może ta wymyślona przez niego nie odbiegała wiele od prawdy?

Damen, Herren – ein Genie!

Pierwsze zdjęcia zaczął robić jesienią. Wtedy światło nabierało tej doskonałej dziwności, znanej z płócien dawnych mistrzów, a wyrażającej się brakiem zdecydowanego źródła iluminacji. Wychodził z domu wczesnym rankiem i krążył pustymi ulicami, niczym duch miasta, w porannej mgłę pełną znad rzeki. Gdy słońce zaczynało się mocniej dopominać o swoje prawo do nadawania światu kształtów i kolorów, zaczynał fotografować. Trwało to pół godziny, najwyżej trzy kwadranse. W tym czasie, z form za dnia pospolitych, wyczarowywał na zwykłym, czarno-białym filmie byty, o jakich nikomu, może poza budzącymi się o tej porze ptakami, nawet się nie śniło. Kiedy wszyscy spali albo śpieszyli do swoich zwykłych zajęć, on wyrывał ze spowszedniałego kontekstu elementy miasta i podporządkowywał je twórczemu zamysłowi. Przetwarzał zwyczajność budynków, sklepowych wystaw, bram, zaułków, parków i architektonicznych detali w artystyczną wizję, tak że zyskiwały cechy indywidualne, dystansowały się od codziennej rzeczywistości, która stała się jedynie dostarczycielką elementów konstrukcyjnych do budowy kompozycji. Fotograf pustych ulic – tak o nim mówiono, ponieważ z powodu stosowania długiego czasu migawki i wczesnej pory dnia nie rejestrował ludzi – budował nowy, fantastyczny pejzaż z elementów realnego świata, nadając im subiektywne znaczenia. Jego spokojne, nastrojowe i kontemplacyjne prace przypominałyby może

nico paryskie zdjęcia Atgeta, gdyby nie to, że u niego przedmiot był tylko pretekstem do konstrukcji formy, podczas gdy u francuskiego fotografa stanowił istotę obrazu. Po paru latach, w drugim okresie swojej twórczości, fotografował także o innych porach dnia, starając się uczynić z socjologicznego, ulicznego reportażu, sztukę. Z jednej strony realizował wtedy zasadę decydującego momentu Cartier-Bressona, z drugiej wprowadzał weryzm i wybujały estetyzm Salgado – cechy tylko pozornie antagonistyczne. I tutaj także dał się zauważyć jego anarchistyczny indywidualizm, jednak po kilku zrealizowanych esejach fotograficznych uznał, że sztuka nie powinna o nic walczyć, i jeśli fotografia ma być sztuką, to powinna odchodzić od realistycznych treści na rzecz formy, lecz w sposób wyważony, by z kolei nie popaść w bezduszną czystą abstrakcję – ta bowiem, połączona z panoszącym się antyintelektualizmem, mogłaby doprowadzić do zwyrodniałej ornamentyki. Drugą możliwością realizowania sztuki fotograficznej było, według niego, połączenie postawy intelektualnej, analitycznej, z twórczym napięciem i psychologiczną głębią i dopełnienie przekazu wizualnego słowami – czy to w postaci wprowadzającego eseju, poezji czy chociażby rozwiniętych podpisów pod fotografiami – które pełniłyby rolę komplementarną, ale przedstawione osobno, byłyby samoistnym i suwerennym artystycznym bytem. Zaczął tworzyć z materii słowa.

Deklaracja niepodległości

Na naszym zaprzałym, antyintelektualnym horyzoncie literackim, gdzie przeważa błazeństwo i podlizywanie się ohydnej kłępie-publice, zepsutej już od lat ciągłymi karesami podlizywaczy, książka Schulza jest zjawiskiem pierwszorzędnym. [...] Schulz jest według mnie nową gwiazdą pierwszej wielkości – chodzi o to, czy wytrzyma, czy mu dadzą żyć i pracować...

Witkacy, wstęp do wywiadu z Bruno Schulzem

I tak, niespodziewanie, fotografie okazały się proklamacją suwerennego pisarstwa. Mroczną wylęgarnią słowa, inkubatorem myśli, które, długi czas ograniczone chaotycznie ułożonymi cząsteczkami srebra emulsji lub – w ostateczności – prymitywną kombinacją zer i jedynek, musiały w końcu eksplodować w formie dojrzałej poezji i wybornej prozy. Słowa i myśli przestały krzyczeć jedynie obrazem, konstrukcją, pospolitym ekspresjonizmem i ekspresyjną pospolitością, a stały się semantyczną i logiczną emanacją najbardziej skrytych, jednocześnie najpotworniejszych pokładów podświadomości, ujętych w karby iście matematycznej precyzji i mistrzowskiego warsztatu. Szaleństwo treści i bezwzględna doskonałość formy oraz ich idealne dopasowanie, zniewalająca metafizyczna harmonia i filozoficzna głębia jego utworów sprawiły, że niektórzy widzieli w nim nawet twórcę nowej, autonomicznej wizji świata, całkowicie odmiennej od

pocziwej, konwencjonalnej wizji fizyków i teologów. Inni dostrzegali jego demiurgiczne właściwości, z jednej strony przejawiające się w destrukcji spowszedniających kanonów wulgarnego słownictwa, w bezwzględnym niszczeniu ograniczonej wyobraźni i nieudolnego opisu depresyjnej rzeczywistości, a z drugiej strony objawiające się olśniewającą kanonadą nowych bytów, tworzeniem rzeczywistości niepodległej, pod prymatem estetyki, myśli i etyki. Przyczyniło się to w krótkim czasie do okresowej dezaktualizacji i unieważnienia wszelkich sporów artystycznych i częściowej neutralizacji śmiertelnych zagrożeń infekujących bezbronną dotychczas literaturę. A czynił to wszystko nie ogromem masy słów, bowiem jego dzieła (nie licząc listów, stanowiących osobną i olbrzymią objętościowo kategorię twórczości) zebrane u schyłku życia, podobnie jak dzieła Nietzschego, Kawafisa, Schulza czy Eliota, zmieściłyby się wszystkie w jednym tomie. Czynił to mocą słów, obfitością obrazów pełnych i wysublimowanych, monumentalnych i prostych, sugestywnych i precyzyjnych. Nawet swoich zaprzysięgłych wrogów zachwycał trafnością skierowanych przeciwko nim utworów, niekiedy drobnych, ale zawsze okrutnie celnych, jak strzały wyborowego strzelca.

Ostatecznie jednak, odrzucony przez środowisko literackie i artystyczne, błędzące po omacku w cuchnących ewaporatach postmodernizmu, ignorowany przez tak zwane środowisko naukowe, zdominowane przez niesamodzielnych intelektualnie karierowiczów, zyskiwał swoje wysokie stanowisko w literaturze i fotografii artystycznej jakby tajnie, powoli, systematyczną cichą pracą i dzięki poszerzającej się stopniowo grupce ewangelistów, jak ich ironicznie nazywano. To dzięki tym szcążko-

wym, autentycznie wykształconym elitom wyrywającym go z bezdennej osobności, nie uległ całkowitemu zniechęceniu, a w rzadkich okresach euforycznego optymizmu żywił wręcz przekonanie o bezwzględnej konieczności walki z bezsenssem i miernością w sztuce, które przeradzało się niekiedy w kategorię imperatywu, powołujący do życia jadowite, niepoprawne politycznie eseje, zyskujące mu nowych wyznawców i wrogów, rozprawdane w nieoficjalnym, podziemnym obiegu i w kilku niezależnych pismach.

Sana'a

Janowi Siwmirowi

Ujrzał miasto na pustyni. Położone wysoko pośród gór, spowite lekko różową mgłą październikowego poranka, z daleka sprawiało wrażenie siedziby jakiegoś potężnego, ale dobrodusznego kalifa. Gdy przekroczył Bab al-Yemen, główne wejście do otoczonej wysokim murem stolicy, zobaczył Wenecję. Jednak zamiast brudnej wody kanałów, niezliczonych gołębi i wilgotnych, zagrzybionych ścian, czekały na niego ulice z czerwonego kamienia, intensywne, jakby stężony zapach kawy i budynki, wyglądające jak ulepione z gliny wieżowce. Minął gwarny Suq al-Milch, targ, na którym wbrew nazwie, można było poza solą kupić wszystkie dobra Arabii a niedawno jeszcze nawet niewolników, i skręcił w stronę hotelu. Szedł wolno labiryntem nienazwanych, krętych jak ze snu uliczek i zaułków, dotykając tysiącletnich ścian i chłonąc zmysłowe wonie. Niekiedy przystawał, spoglądając na rozdarłe wieżami minaretów pogodne niebo albo nasłuchując dźwięków płynących z hammamów.

Te muzułmańskie łaźnie od dzieciństwa silnie pociągały go swoim domniemanym, rozpasanym erotyzmem. Działały niczym łagodny narkotyk pobudzający wyobraźnię, ale nie odbierający mocy woli. Teraz stał przy jednej z nich, oparty plecami o ścianę z wypalanej w słońcu cegły i wyobrażał sobie kobiety w jej wnętrzu, powoli

zdejmujące niquaby i abaye, odsłaniające jedwabną, skąpą bieliznę, a potem zupełnie nagie, wchodzące z wdziękiem gazel do kamiennych basenów, zanurzone w wodzie, myjące delikatnie piersi, plecy, uda, delektujące się swoimi ciałami, roześmiane, egzaltowane niczym kwiaty w tutejszych ogrodach – tak jak kobiety ukrytych przed spojrzzeniami przypadkowych przechodniów. Kobiety i ogrody... najbardziej tajemnicze i niedostępne dla obcych, a szczególnie dla giaura, istnienia islamu, piękne, czułe i zmysłowe do szaleństwa, do absolutnej doskonałości. Były dla niego jak olśniewające błyski mocy Mahometa, proroka, który złamał ontologiczną zasadę bytu i zdjął z ludzkich barków ciężar skończoności, zastępując go skrzydłami uwodzicielskiej i radosnej wieczności.

Im bardziej zagłębiał się w kręte uliczki Miasta Sema, tym mniej przypominało mu ono Wenecję, tę „republikę bobrów”, jak pisał o niej Goethe, a coraz bardziej powracało pierwsze skojarzenie – ze stolicą średniowiecznego kalifatu. Nie pamiętał już „Baśni Tysiąca i Jednej Nocy”, ale tak właśnie mogło wyglądać miasto z tej książki, gdyby je opisywała sułtanowi Szeherezada. Prawie wszystkie domy Medyny – w liczbie sześciu i pół tysiąca – były w kształcie kilkukondygnacyjnych wież w kolorze gorącej czekolady z mlekiem, a dzięki licznym, bogatym białym ornamentom ze zwykłego gipsu lub alabastru pokrywającym ich fasady, całość wyglądała jak dzieło szalonego cukiernika, zbudowane z pierników inkrustowanych lukrem i z ulicami wysypanymi szafranem, cynamonem albo chilli. Każdy dom posiadał na płaskim dachu taras – miejsce wieczornego wypoczynku i przyjmowania gości, a wiele z nich skrywało otoczone murami niewielkie ogrody – narkotyczne, półprzytomne, jakby śniące same o sobie, pełne aromatycznych ziół

i opętanych kolorami kwiatów, oszalałe zbiorowiska roślin próżnych i daremnie tęskniących, by podziwiał je ktoś inny niż ogrodnik. Baśniowe wrażenie potęgowało ponad sto minaretów i meczety, a wśród nich najpiękniejszy, zbudowany z polecenia Mahometa Jami' al-Kabir – Wielki Meczet, jeden z najstarszych na świecie. Meczety oczywiście z wewnętrznymi ogrodami, jednak bardziej zdyscyplinowanymi, pokornymi, a przede wszystkim dostępnymi – lecz jedynie dla wyznawców Proroka. Tajemnicze ogrody Sany. Skryte podwójnie – za murem Starego Miasta i drugim, własnym, zupełnie inaczej niż wyzywające, pyszniące się przed obcymi islamskie ogrody Damaszku czy Bucharu.

Skrytość tutejszych ogrodów i kobiet miała dla niego powab mocno erotyczny, tak silny, że niemal odczuwał go jak smak – ale nie rozpoznawany skromnymi liczebnie kubeczkami smakowymi języka, tylko całym ciałem, każdym najdrobniejszym włóknem i nerwem. Szczególnie teraz, w październiku, gdy już skończyły się upały i rześiste deszcze późnego lata, dawało się odczuć wiszący w powietrzu napięty erotyzm. To za sprawą jesieni. Przyszła z gór, wyniosła i pogodna, umiarkowana w swojej temperaturze, rozrzucająca niedbałym gestem kolory, obdarzając nimi kwiaty oraz stroje. Jednak nie kwiaty, jakby się mogło wydawać, ale właśnie stroje ulegały teraz największemu przeobrażeniu, czyniąc zamęt w uczuciach i zmysłach. Porzucały o tej porze roku swoją cichą sterylną biel na rzecz wyuzdanej, oszalamiającej barwności, epatowały elegancją, wibrowały zapachami perfum, emanowały rozkosznym dreszczem pożądania. Jesień była początkiem. Pozwalała odetchnąć od monotonii zwrotnikowych upałów i kurzu, sprawiała, że nasycona wilgocią ziemia rodziła wonie i rośliny, a ludzie oddychali

z ulgą i cieszyli się na najbliższe sześć miesięcy życia pełnią, które kończyło się tutaj w marcu, z nastaniem wiosny. Wiosną umierały kwiaty, a barwne stroje zapadały w śpiączkę bieli.

Papieros

- Tego nie pojmuję - rzekł Hans Castorp. - Nie pojmuję, jak można nie palić. Ten, kto nie pali, dobrowolnie pozbawia się, że tak powiem, najlepszej części życia, w każdym razie wielkiej przyjemności! Budząc się, już się cieszę, że w ciągu dnia będę mógł palić, a przy jedzeniu znów się z tego cieszę, a nawet mogę powiedzieć, oczywiście z pewną przesadą - że jem tylko po to, aby później zapalić. Dzień bez tytoniu byłby dla mnie szczytem szarzyzny, byłby dniem zupełnie pustym i bez żadnego powabu, a gdybym musiał sobie rano powiedzieć: dzisiaj nie ma nic do palenia - sądzę, że nie znalazłbym wcale odwagi, żeby wstać, słowo daję, że zostałbym w łóżku.

Tomasz Mann, Czarodziejska góra

Najpierw obracał go palcami, nasłuchując cichego szelestu zmielonych drobno i wysuszonych liści. Później wąchał, delectując się zapachem odległych krajów i nagrzanym słońcem tytoniowych pól, po czym wkładał do ust w sposób, który miał cechy zawoalowanego erotycznego misterium - powoli dopasowywał do warg jasnobrązowy filtr kręcąc papierosem, układał go wygodnie nie pośrodku, jak wszyscy, ale lekko z prawej strony ust; trzymał chwilę, aż bibuła zawilgotnieje od dotknięcia językiem i oddechu, i z namaszczeniem zapalał, najczęściej zapalką, rzadziej benzynową zapalniczką. Patrzył na żarzący się koniec, coraz jaśniejszy z każdym ułamkiem sekundy zaciągania, i w tym samym momencie czuł pierwsze atomy

rozkosznego, gorzkiego dymu wypełniające mu usta, ślizgające się i wirujące namiętnie po spragnionym podniebieniu, niczym rozpustne tancerki, i wpływające do gardła szarobłękitnym strumieniem. Jeszcze jeden ułamek sekundy, mocne napięcie przepony, głęboki wdech i tytoniowy dym, ten najgenialniejszy obok pomidorów, ziemniaków i bluesa dar Ameryki, wpadał radosną lawiną do płuc, wytęsknionych, zwijających się z niezaspokojonej żądz, i zalegał na ich dnie, tworząc z najcięższych frakcji sedyment o kolorze i konsystencji ciemnego, gryczanego miodu. Stamtąd też sączył się powoli do krwiobiegu, wypełniając nikotyną każdą wytęsknioną komórkę ciała.

Cały błękitny składnik dymu zostawiał w sobie, wypuszczając na wolność jedynie szare, bezwartościowe pozostałości, które, jakby wstydząc się swojej nieużyteczności, umykały przez otwarte okno biblioteki do ogrodu, zadziwiając ptaki, zwykle siedzące na parapecie i z zainteresowaniem oglądające przez szybę liturgię palenia. Trwało to kilka minut, najwyżej dziesięć, w czasie których papieros oddawał mu swoją najlepszą część, ginąc powoli w jasnorubinowym żarze i zamieniając się w delikatne bijous w kolorze starego srebra, spoczywające na dnie porcelanowej popielniczki.

Chloe i ptak

To było w pociągu. Jego mechaniczny rytm, te stuki i łomoty, nierzadko okazują się inspiracją dla kompozytorów – ja sam często słyszę muzykę w samym sercu hałasu. I właśnie wtedy, w pociągu, nagle usłyszałem, wręcz zobaczyłem na papierze, całą strukturę Rapsodii, od początku do końca.

George Gershwin

Każdy ranek był taki sam, co dla wielu jest nieznośne, przykre jak pojawiający się lekki ból zęba, niby jeszcze niedokuczliwy, ale już zwiastujący nieuchronną wizytę u dentysty. On jednak uwielbiał tę powtarzalność, dającą mu poczucie bezpieczeństwa: otwierał oczy, przeciągał się leniwie, dotykał brzucha, piersi, penisa, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu i w dobrym stanie. Unosił głowę, patrzył na pokój skąpany w świetle poranka przedostającym się dyskretnie przez półprzezroczyste zasłony, siadał na brzegu łóżka – koniecznie stawiając na podłodze najpierw prawą stopę, zakładał okulary i podchodził do gramofonu. Nastawiał płytę z „Błękitną rapsodią”, stawał przy oknie i w momencie, gdy przeciągłe glissando klarnetu wypełniało mieszkanie, rozsuwał płótno w kolorze écru. Dopiero w tej chwili następowała zmiana w scenie – czy jak kto woli, w scenografii – spowodowana nawet nie tyle kapryśną jak dziecko pogodą, określającą intensywność i zabarwienie wpadającego światła, ile zmieniającym się wraz z porami roku parkiem. Stojąc nago

w oknie podziwiał widok, na jaki niewielu było stać – cała Upper West Side we wschodzącym słońcu jak wykuta z różowego marmuru, albo spizowa, gdy niebo było zasnuwane chmurami. Niemal na wprost Muzeum Historii Naturalnej, na lewo od niego Towarzystwo Historyczne, gdzie często bywał, a na pierwszym planie pomnik Jagiełły i zaraz za nim ciemne oko Turtle Pond, nad którym siadywał z książką lub – coraz częściej – z lornetką, wyszukując dziewczyn w obcisłych lub kusych strojach, a nawet, na czym się ostatnio złapał, urodziwych młodzieńców.

Niekiedy zdarzało się, że rytualny porządek poranka zakłócała mu obecność kobiety w łóżku – w jego rozumieniu nietaktownej osoby, która postanawiała zostać na noc, beztrąsko ignorując znaczący grymas twarzy jaki mimowolnie przybierał, a wskazujący wyraźnie, że wieczór był miły, ale noc lubi spędzać samotnie. Jednak po przebudzeniu rekompensował sobie tę drobną w sumie niewygodę, bo gdy już sprawdził stan własnego ciała, z przyjemnością gładził leżące obok miękkie krągłości i wsuwał palce w rozkoszne zagłębienia, aż poczuł, że jedno i drugie budzą się, nabierają ciepła, prężą się i wilgotnieją, gotowe do półsennej, gorączkowej i nieprzytomnej miłości. Wtedy od razu wspinałomyślnie wybaczał nietaktowne zachowanie, przyjmując dyszące przeprosiny w ramionach rozpalonej kochanki. Jednak ciąg dalszy odbywał się bez zmian – gramofon, „Błękitna rapsodia”, rozsuwane gwałtownie zasłony, widok na park, i dopiero po kilku minutach kontemplacji miasta i muzyki, łazienka albo kuchnia – to już nie podlegało ścisłym regulacjom.

Mieszkał tu od roku. Zrezygnował z artystycznego West Side na rzecz bardziej podobno mieszczańskiego

i spokojnego East Side, chociaż te różnice zacierały się powoli, przynajmniej na obrzeżach parku. Sprowadził się we wrześniu, kiedy to mieszkańcy budynku przy Piątej Alei wyrazili zgodę, by przyjąć go do swojego towarzystwa urokliwych snobów i nierobów, jak o nich myślał. Wielu z nich bowiem żyło bliżej nie wiadomo z czego, inni wykonywali wolne zawody, niektórzy pracowali w redakcjach gazet lub wydawnictwach, wszyscy jednak uważali się za lepszych od reszty społeczeństwa – no może jedynie ci z drugiej strony parku zasługiwali na ich względy. Niemniej, nigdy nie okazywali nikomu swojej wyższości, jedynie o niej mówili, i to wyłącznie we własnym towarzystwie. Traktował ich pobłaźliwie, podobnie jak oni jego. Wszyscy zresztą byli tutaj pobłażliwi, wyrozumiali, uprzejmi i dyskretni. Poza tym, do czego przyznawał się niechętnie, nawet przed sobą, odpowiadało mu towarzystwo tak zwanych ludzi na poziomie, interesujących się poważną muzyką, malarstwem, literaturą, a stroniących od polityki, sportu i artystycznej hucpy. Kilkoro mieszkańców domu miało na ścianach oryginały Klimta, Chwistka, Modiglianiego, u innych stały na półkach szesnastowieczne starodruki, u większości dostrzegł mnóstwo klasyki, sporo dzieł filozoficznych, u wszystkich wisiały dobre, bromowe fotografie, natomiast u nikogo – a przez ten rok zdążył już poznać i odwiedzić niemal wszystkich lokatorów – nie widział bohomazów Pollocka czy innego, jak to oni nazywali, nieudacznika z pretensjami, ani tym bardziej wytworów spod znaku wątpliwej literackiej awangardy. Niewielu też posiadało samochody, a jeśli już, to francuskie, stanowiące tutaj oczywisty symbol dobrego tonu, intelektualnej suwerenności i niechęci do konwencjonalnych zachowań. Te fakty chyba najlepiej

charakteryzowały mieszkańców domu przy Piątej Alei, tę snobistyczną, ale pełną uroku menażerię, bardziej sobie ceniącą sąsiedztwo Instytutu Goethego i Muzeum Guggenheima, niż bliżej położonej Neue Galerie, i której nic nie było w stanie przekonać do porzucenia sztuki elitarniej na rzecz wytworów instynktownych działań, popędów i nieudolności, co zdarzało się niektórym z West Side, o Greenwich nie wspominając.

Po śniadaniu, złożonym najczęściej z jajek na miękko, maślanych rogalików i kawy z pełnotłustym mlekiem, wypalał papierosa, mył zęby, po czym zasiadał przy biurku i pisał przez kilka godzin, co jakiś czas gapiąc się na park. Czasem wstawał, przechodził do kuchni zaparzyć sobie herbatę i przyglądał się drugiemu skrzydłu budynku, usiłując przebić wzrokiem ściany i ciemność okien, za którymi, jak to sobie wyobrażał, roily się chmury najwyborniejszych inspiracji – wydarzeń podniecających i traumatycznych, wzniosłych i podłych, lirycznych i zwyczajnych, które, wyrwane z kontekstu banalnej rzeczywistości, obrane z fizycznej ektodermy, poddane psychologicznej i artystycznej wiwisekcji, słowem, wyniesione nieposkromionym intelektem do metafizyczności, stanowiłyby pożywkę do artystycznej konstrukcji absolutnego dzieła sztuki literackiej, nad jakim pracował. Później, koło jedenastej, zamawiał coś we włoskiej restauracji, pisał jeszcze trochę, a po południu wychodził do parku albo po zakupy, zwykle na Osiemdziesiątą Piątą Wschodnią lub na Madison Avenue. Przynajmniej raz w tygodniu zachodził do swojej ulubionej kawiarni „Café Sabarsky”, jednej z niewielu w mieście utrzymanych w stylu wiedeńskim, gdzie kawę podawano w porcelanowych filiżankach na srebrnych tacach, a jabłkowy strudel wcale nie był gorszy od tego, jaki jadł

w Tyrolu. Wieczorami zwykle czytał to, co napisał w ciągu dnia, przesiadywał w Towarzystwie Historycznym lub w Muzeum Historii Naturalnej, niekiedy zaglądał do któregoś z sąsiadów, zaproszony, by obejrzeć kolejny nabytek wyszperany w antykwariacie albo kupiony na aukcji, ale najchętniej włóczył się po Manhattanie, chłonąc wielobarwny nieposkromiony żywioł miasta, jego mechaniczny zgiełk i rytm, wdychając dochodzące zewsząd zapachy spalin, perfum i jedzenia. W ten sposób dotykał ciała molocha, wyrывał je i sycił się nim jak larwa mięszem owocu, by później z energią przystąpić do budowy kokonu z delikatnych włókien słów, zawinąć się w niego i przepoczwarzać w sposób tajny, niewidzialny dla świata, ale pewny jak wszelkie zasady i prawa, które Bóg w nonszalanckim geście zostawił ludziom do odkrycia.

Na początku czerwca do drugiego skrzydła budynku wprowadziła się nowa lokatorka. Na oko trzydziestoklikuletnia, atrakcyjna, i, jak dowiedział się od wszechwiedzącego portiera, rozwiedziona. Szatynka, o imieniu Chloe. Przyglądał się jej z okna kuchni przez zakupioną specjalnie w tym celu lunetę. Gasił światło i z zapartym tchem, jak mały chłopiec odkrywający tajemnice kobiecej seksualności, podziwiał regularne rysy twarzy, włosy w kolorze suchych, zimowych traw, piersi, lekko opadające, uwieńczone brązowymi aureolami, wąską talię, wydepilowane łono, i pośladki, które mogłyby służyć za wzorzec w Sèvres. Trwało to może dwa tygodnie, do czasu, aż zawiesiła w oknach rolety. Kilka dni później dostał od niej zaproszenie na herbatę, pisane odręcznie zielonym atramentem, niemal kaligraficznym charakterem pisma, zdradzającym uporządkowanie i zdecydowanie. Kupił w Greenwich Village pierwsze wydanie „A Witness Tree” Roberta Frosta z 1942 roku, wpisał dedykację

„Dla Chloe, Zielonej Dziewczyny i, jak sądzę, wcielenia Demeter – Nowoczesny Dionizos” i poszedł, uprzednio dodając sobie nieco nonszalancji poprzez wyjęcie spinek z mankietów koszuli, niedbale założonej na wierzch. W mieszkaniu Chloe siedziało już kilka osób zaproszonych na ten wieczór, jak się okazało pierwszy z kilku, na których nowa sąsiadka zamierzała poznać wszystkich lokatorów domu przy Piątej Alei. Z prezentem trafił znakomicie – gdy go wręczał, spotkały się ich palce, zadrżał, a ona uśmiechnęła się mrużąc szarozielone oczy i zacytowała ostatnie wersy jednego z utworów: „Śpiew ptaków nigdy już nie miał być taki sam. Po to przyszła na świat, między ptaki”. Oczy całego towarzystwa były zwrócone na nich, dało się wyczuć napięcie, cóż on, pisarz z dalekiego kraju, na prywatnym stypendium, teraz odpowie – wypadło się zachować, więc z naturalną, po wielu latach studiowania, swobodą dandysa, odpowiedział pierwszymi wersami tego samego wiersza: „Pewien był – przysiąc mógł – że w ptaków śpiewy, rozbrzmiewające wokół w ogrodzie, wkradło się w końcu echo głosu Ewy”. Zebrani odetchnęli, szczęśliwi, że „ich pisarz” tak doskonale zachował się w tej, bądź co bądź trudnej, sytuacji. Takie były standardy zachowań w tym domu – niełatwe do udźwignięcia.

Cały wieczór przyglądał się jej dyskretnie. I chociaż podniecający obraz ciała Chloe miał zapisany w pamięci, i oczami wyobraźni widział je z detalami przez lnianą sukienkę w kolorze ochry, w tej chwili więcej w jego wzroku było chłodnego zainteresowania pobudzonego jej intelektem, niż pospolitego pożądania. I mógłby zaliczyć to sąsiedzkie spotkanie do udanych, gdyby nie wysoki brunet, zdecydowanie tutaj niepasujący, który sprawiał wrażenie nazbyt z nią zaprzyjaźnionego. Bill. Co to za imię, Bill. Równie gówniane jak Jack. Imiona dobre dla pastuchów,

mechaników czy koleśków z baru. Żeby chociaż przedstawił się jako William, ale nie, Bill. Wieśniak. Bill wytrącał go z równowagi swoim hałaśliwym rozpanoszeniem, a gdy taktownie śmiała się z jego głupawych w sumie żartów, znienawidził go szczerze. Przechodząc obok niego chciał nawet zrzucić mu na białe spodnie sałatkę z buraczków, wyjątkowo obrzydliwą, ale za to zostawiającą trwałe ślady, jednak zabrakło mu odwagi. Później planował napluć mu do drinka, porazić prądem w toalecie, wysadzić w powietrze razem z tym jego pieprzonym motocyklem, o którym ciągle gadał, a po kolejnym kieliszku Hennessy i czwartej szklance Campari postanowił w końcu zwyczajnie, po męsku zadźgać go nożem i ciało wrzucić do zsypu, co wydawało się najbardziej adekwatnym do wyglądu Billa rozwiązaniem. Niestety, mimo lekkiego alkoholowego oszołomienia wiedział, że mógłby to uczynić tylko w wyobraźni, jeśli nie chciał spędzić reszty życia w celi z kimś jeszcze głępszym, a pewnie i brzydszym niż Bill. Wyszedł przed ósmą, zapominając pożegnać się z wieśniakiem i zostawiając rozczarowaną Chloe, czego już nie mógł wiedzieć. Wypił u siebie pół butelki Bacardi, zagryzł węgierską suszoną kielbasą i nieprzytomny padł na łóżko.

Rano obudził się cały w piórach. Z przerażeniem stwierdził, że zamienił się w ptaka. Jednak zdumiewająco szybko oswoił się z tą nową formą, a strach przeszedł w zadowolenie, które, gdy uświadomił sobie nieograniczone możliwości, jakie dają skrzydła, a właściwie cały nowy byt, zamieniło się w euforię. Fruwał po całym mieszkaniu, szczęśliwy wykąpał się w zlewie, zjadł kawałek suchego rogała, podziwiał swój wyrafinowany gust patrząc z góry na świetnie urządzonego pokój, przysiadł co chwila, by odpocząć na blisko trzymetrowym

kaktusie przytarganym z Arizony, a nawet złapał i połknął muchę, która zaplątała się tutaj nieopatrznie, zapewne ze śmietnika. Nie miał ochoty na papierosa, również Gershwin wydał mu się mniej odpowiedni dla uczczenia tej przemiany. Pomyślał o Mozarcie, ale nie był w stanie wyjąć płyty (cóż, każda sytuacja ma wady i zalety – zaćwierkał), i włączył radio z muzyką klasyczną, bo to nie wymagało umiejętności dla ptaka niedostępnych. Nie musiał rozsuwać zasłon, które zapomniał we wczorajszym upojeniu zasunąć. Chwilę jeszcze polatał po mieszkaniu, upewnił się, że wszystko jest w porządku, i wyfrunął przez otwarty balkon.

Otwarte przestrzenie dawały zdecydowanie więcej możliwości. Wzlatywał wysoko i pikował w dół, machał skrzydłami wisząc w powietrzu, wykręcał śruby, ósemki i korkociągi, popisywał się sam przed sobą nad Central Parkiem i Broadwayem, przeleciał nad Hudsonem, pomknął jak strzała Czterdziestą Drugą ulicą, zawitał nawet nad Harlem, skąd go jednak przegoniło jakieś ptasie pospólstwo. Wracając do domu zjadł kilka owadów, pożywnych i wybornych, by nie rzecz wykwinnych w smaku, a tak zupełnie niedocenianych przed przemianą. Na koniec wykapał się swobodnie w parku, po raz pierwszy w życiu. Kiedy już zobaczył dom przy Piątej Alei, przypomniał sobie o Chloe. Podfrunął pod jej okno, usiadł na parapecie i zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Zdecydowanie nie przejawiała skłonności do nieporządku – przeciwnie niż większość znanych mu kobiet. Po wczorajszym spotkaniu ani śladu, żadnych brudnych naczyń, nie było też rozrzuconych ubrań, papierów, kosmetyków. Nie dostrzegł nawet resztek jedzenia – a to akurat byłby w stanie jej wybaczyć, przypomniał sobie bowiem smak wczorajszego sernika na kruchym spodzie

i z kruszonką. Na stoliku obok łóżka leżał podarowany przez niego tomik „A Witness Tree” i praca krytyczna Dorothy Judd Hall „Robert Frost: Contours of Belief”.

Otworzyły się drzwi mieszkania. Weszła, a za nią ten kretyn Bill, dźwigający zakupy. Namolny wieśniak postawił torbę w kuchni, napił się soku (jak on pije, jak cham! jak mu się rusza ta grdyka! zwierzę!), pogadali chwilę (o czym gadać z takim trepem, o zimowych opo-
nach i koszykówce?! tfu, ohyda) i wyszedł. Nie dała się pocałować w policzek (doskonale, dobry znak). Odwróciła się i go dostrzegła. Podeszła do okna. Przestraszył się nieco, ale po chwili zatrzepotał skrzydłami, nastroszył pióra i przekrzywił zabawnie główkę. Zaśpiewał, a ona wyciągnęła do niego rękę. Popisywał się trelami, świergotami, wokalizami, podskakiwał na parapecie, a ona przemawiała do niego czule. Po kilkunastu minutach tej gry wstępnej poszła do łazienki. Pofrunął za nią i usiadł na półce pod lustrem. Woda leciała do wanny, a Chloe zdejmowała ubranie i bieliznę, spoglądając na niego ukradkiem, trochę nieśmiała, trochę jakby zaniepokojona, ale i podniecona, niezwykle powabna w tej niecodziennej sytuacji, seksowna do ostatecznych granic z utraconą nagle pewnością siebie. Rozbierała się przed nim, miejskim ptakiem, z tym erotycznym wdziękiem, jaki kobiety często boją się okazać, albo nie mają przed kim, albo wcale go nie posiadają. Weszła do wanny. Wzięła gąbkę i masowała ciało, a on przysiadł na brzegu i przyglądał się z niemym podziwem (jednak gardło niećwiczone nawala błyskawicznie). Gdy zaczęła dotykać piersi, nie wytrzymał. Zeskoczył na jej brzuch, podreptał wyżej, położył się pod cudownym, brązowym sutkiem i zamknął oczy. Delikatnie pocierał główką o brodawkę, aż nabrzmiała i pociemniała. Ona głaskała go jedną ręką, drugą powoli kierowała

w stronę Iona. Jeszcze nigdy nie udało mu się zdobyć kobiety w ciągu niespełna doby. I to jakiej kobiety! Intelktualnego demona! Bogini! Trzy dni, tydzień, to rozsądne terminy na zaciągnięcie do łóżka, ale nie dwadzieścia godzin! Warto było dla tych chwil spędzonych w wannie zejść w dół drabiny ewolucji, ale za to w górę nowych stanów psychofizycznych i doskonałego, niczym nie zmaconego szczęścia. Ręka. Tak, jej dłoń, a właściwie palec, pobudzał jego małego penisa, który wysunął się spod piór! Drugą piękną dłonią masowała swoje najcudowniejsze na świecie, gdzie tam, w całej galaktyce, krocze. Przesunął się niżej, przytulił się do gładkiego wzgórka Wenery, odsłoniętego przez odpływającą od kilku chwil z wanny wodę. Delikatnie zaczął pocierać swoim penisem o jej srom, rozchylił go szyją i wsadził głowę głęboko w najrozkoszniejszą, za przeproszeniem, dziuplę. Poczul falę nadchodzącego spełnienia, a ona już wyginała się w spazmach, wpychając go coraz głębiej. Rozkosz absolutna wypełniła ich ciała.

I wtedy się obudził naprawdę, zlany nie tylko potem. Dzwonił telefon. Chloe zapraszała go na śniadanie z sernikiem i szarlotką, które zostały od wczoraj.

Attyła, Gniew Boży

Budowy są krępej i silnej, karki mają grube; przeraźliwie brzydcy i koślawi przypominają bestie dwunogie albo owe z gruba ciosane słupy o ludzkich obliczach przy poręczach mostów. [...] Niby tępe bydłeta nie mają żadnego pojęcia, co uczciwe, a co nie. Mowa ich pokrętna i ciemna, a część jakiejś religii lub choćby tylko zabobonu w niczym ich nie krępuje. Pałają wszakże niezmierną żądzą posiadania złota.

Ammianus Marcellinus, *Dzieje*

Niekiedy zapuszczał się do odległej dzielnicy rodzinnego miasta, która, aby w pełni oddać jej naturę, powinna być oznaczona na mapach i planach białą plamą, jaką dawniej zwykle oznaczało się tereny niezbadane, zamieszka-
ne przez barbarzyńców. Dojeżdżał tam rozkiwanym na krzywych szynach tramwajem, i zagłębiał się w proste pnie ulic porośniętych szarymi domami. Budynki, niczym grzyby, mchy i porosty na korze drzew, trwały w pełnej symbiozie z ulicami i podwórzami, nadając im formę, można by rzec, swoistą, niespotykaną w innych obszarach poddanych urbanizacji. Ta autonomia przejawiała się hałaśliwą anarchią rozmnożonych ponad miarę bytów, w większości endemicznych, złożonych z materii żywej i nieożywionej, jakby bezczelnie kpiących sobie z zasady Ockhama, by istnieć nie mnożyć ponad konieczność. Wszelkie indywiduum przybierało tutaj kształty oso-

bliwe, zdegenerowane, karłowate albo rozdęte, jakby potwierdzało tezę, że świat ma przyczynę niejasną, jest przypadkiem lub co najwyżej eksperymentem, który wymknął się spod kontroli i pozostawiony sam sobie w opuszczonym laboratorium zmierza donikąd, nieuporządkowanie i bezcelowo, tworząc formy wolne od wszelkich zasad.

Również język, jakim posługiwali się mieszkańcy tego terenu, cechowała pewna suwerenność. Stanowił prymitywną, niewstrzemięźliwą i bezładną mieszaninę wyrazów potocznych, wulgaryzmów, słów obcego pochodzenia oraz rozmaitych gestów wykonywanych głównie za pomocą rąk, natomiast w piśmie porzucił krępujące zasady gramatyki i ortografii, w zamian rozwijając formy obrazkowe – piktogramy – wymyślane ze zdumiewającą inwencją. Nie mniej zdumiewająca była agresywna ekspansywność tej mowy, która, nie mając naturalnych, ani żadnych innych barier, rozprzestrzeniała się jak zaraza, atakując nawet organizmy, wydawało by się, odporne, i szybko traciła w ten sposób swój charakter lokalnego narzecza.

Spacerując któregoś pogodnego, listopadowego dnia ulicami tej osobnej części miasta zastanawiał się, jak na tym obszarze, odizolowanym od świata niczym wioska Papuasów, mogły rozwinąć się formy według niego zbyt niefrasobliwie zaliczane do sztuki i literatury, a uznawane niemal już powszechnie za jej wybitne osiągnięcia. Z drugiej strony musiał przyznać, że nawet dzikie plemiona zamieszkujące odcięte od tak zwanej cywilizacji śródgórskie doliny Papui-Nowej Gwinei tworzyły zdobnictwo czy też sztukę i mniej lub bardziej złożone opowieści, a nie mając możliwości – intelektualnych i fizycznych – poznać osiągnięć innych wiosek, ani tym

bardziej odległych kultur, uważali swoje dokonania za przejaw najwyższej myśli i nieskrępowanej kreatywności. Utwierdzali ich w tym przekonaniu etnografowie i antropolodzy, z zachwytem płacący tubylcom paciorkami i grzebykami za każdą opowiedzianą plemienną historię czy wykonany taniec.

Spojrzał na leżące na chodniku ekskrementy, ni to psie, ni ludzkie, nieco już roznoszone butami przechodniów, tworzące awangardowe dzieło niczym obraz Pollocka, i wszedł do kolejnej cuchnącej urną bramy, by przeczytać i zapisać nowe słowa, sentencje, a nawet całe poematy namazane niewprawną ręką na ścianach. Notując, przypomniał sobie ze zgrozą, jakie zdziwienie i śmiech wzbudzał wśród Papuasów, gdy używał podstawowych środków higienicznych a potrzeby fizjologiczne usiłował załatwiać skrycie, w poszukiwaniu intymności oddalając się z saperką pomiędzy drzewa, gęsto rosnące nad strumieniem. Takie zachowanie było dla nich niepojęte, dziwaczne i szkodliwe, podobnie jak wiele innych, dla niego i ludzi z jego świata zwyczajnych, niemal rytualnych. Nietolerancyjnych tubylców łatwo było urazić niewinnym gestem, na przykład okazując niechęć do picia ze wspólnego z nimi naczynia, do którego zresztą wszyscy spluwali, żeby napój był smaczniejszy. Podobnie i tutaj, w wielkim mieście, wszelkie odstępstwo od konwencji traktowane było jeśli nie wrogo, to z pogardą, jako przejaw wynoszenia się i snobizmu, w najlepszym razie dziwactwo. Niewątpliwie, na podstawie obserwacji tych dwu różnych społeczności można by sformułować twierdzenie, według którego wszelkie zbiorowości podlegają tym samym prawom psychologicznym, nawet zbiorowości kulturowo odległe, bo ta odległość jest tylko pozorna i dotyczy jedynie maski, nie tego, co jest pod nią.

Zajmowanie się etnografią tej wydzielonej części miejskiego organizmu, a szczególnie mową jej mieszkańców, było jednak inspirujące i otworzyło przed nim niespotykane dotąd horyzonty. Dlatego, po zebraniu imponującego materiału leksykalnego i semantycznego, postanowił tworzyć w tym dotychczas endemicznym języku, widząc w nim niekwestionowanego następcę skostniałej i coraz mniej zrozumiałej mowy swojego plemienia, skazanej demokratycznym wyrokiem na wymarcie. Wkrótce powstały pierwsze utwory egzystencjalno-ontologiczne, niekiedy z odrobiną magii, ale zawsze o zwykłych ludziach, ich problemach i życiu, gdzieś tam wzbogacone wątkami fantastycznymi, cieszącymi się wielką popularnością. Jego potężna, wielotomowa historia czystej miłości Wafla – poety, sutenera i żula, syna beznogiej i bezzębnej Gadziny – z gimnazjalistką Andżeliką, narkotyzującą się szewskim klejem córką pary syfilitycznych alkoholików, wzruszała nawet najbardziej zatwardziałe serca i poruszała umysły największych badaczy literatury. Nie było chyba inteligentnego domu, w którym by nie dyskutowano, czy w kolejnym tomie powieści Manrug – tajemniczy książę kanałów – pomoże bohaterom, czy zostanie pokonany przez Irhana, równie tajemniczego, ale niedobrego księcia zaszczytów piwnic, i czy przepiękna Urynia, uwięziona przez okrutnego ojca, radzę Fekistanu, w wieży z ludzkich czaszek, odnajdzie magiczny piszczel ślepego pastuszka Kulosa zjedzonego przez wściekłe kury znoszące wyłącznie zepsute jaja i odczaruje nim swego ukochanego D. J. Pupę, znanego rapera i performerera zakłętą w nocnik przez podłą czarownicę Hymenę. Niezliczone perypetie, zabawne sytuacje i barwne opisy życia, stanowiły przepiękną alegorię współczesnego świata, a jednocześnie – jak pisała

krytyka – genialną kontynuację „Odysei”, „Dekameronu”, „Romea i Julii” oraz „Nienasycenia” i nasz wielki wkład w światowe dziedzictwo kulturalne. Dzieło to wprowadziło literaturę w nową epokę, łamiąc wszelkie tabu, przeprowadzając społeczne katharsis i czyniąc z językiem, treścią i formą rzeczy niezwykle, o jakich nie śnili najwięksi twórcy awangardy i ich uczeni apologety, wszyscy teraz wstydliwie skuleni w śmietniku historii. Język powieści, wzięty z ulicy i wyniesiony do rangi mowy poetyckiej, opanował wszystkie środowiska, czego dowodem jest często cytowany fragment zbiorowej pracy wspomnieniowo-krytyczno-literackiej poświęconej jemu i jego twórczości, a zatytułowanej „Wafel i Andżelika jako przeciwstawne systemy ontologiczne w kontekście aksjologii ocieplenia klimatu”, który ukazał się w 248 zeszytcie miesięcznika literackiego „Nowa Awangarda”:

[...] Kozenie tej tforczości śęgają głęboko w cało naszej najnowszej literatury, czerpiąc z niej żyćo dajne soki i jednocześnie krełując nową jakość wolnom od wszelkiej konwencji. Taka sówerenna kreacja wymaga odwagi i nie zalerzności. A on zmieżył sie z najwienkszymi, nagradzanymi i wynoszonymi pisarzami. I poetami. Obu pci. A nawet obupciowymi. Tak wspomina te czasy jego były wróg a dżiśaj apologeta, znany prozaik, poeta i krytyk literacki Dżordan Zdunek, w swoim eseju „Tacy, kurwa, byliśmy”: „Normalnie wyjebał wuwczas z grubej róry bez cykora śmiesznie było no niby kul i fan niezły trafił do targetu ale troche to podkurwiło coponiewktórych że sie wpierdala nie proszony jakiś gostek co to kurwa dzienne studia inteligencik pokończył i matka nie była kurwa ani alkochoiczka ani schizolka jak wszyscy normalni ludzie tylko normalnie do roboty zaiwaniała jak i ojciec jego fakju ale co robić jak on jak jakiś entropolog chodził i wypytywał co jest grane nawet pod szkołom wystawał i zaczepiał dzieci jak mówiom pedofil kurwa jakiś normalnie psaliśmy napuścili na chuja a on szczelił z pizdoletu i spierdolił

ale komórke zgubił takom miał gównianom bez aparatu i gier nawet na ćwiartke nie starczyło a teraz to wielkie panisko w tiwi ma tokszoł i wszyscy mu w dupe włożom bo on teraz z najslyniejszom pisarkom masłowskom co to od fabryki dresów nagrode dostała od michnika i innymi nowoczesnymi pisarzami robio cuda z jenzkiem piszą o życiu samom prawdę tak jak ludzie to widzom i w końcu kurwa coś dla ludzi ciekawie i zdania krótkie że każdy zrozumi a nie jakieś pojebane wyjebki i wontki z kryminału som a nawet jeden nie ogolony minister ten co wygląda jak rzul mówił że oni to teraz są naj wienksi pisarze i zagranico ich znajom bo polski rząd nierząd promuje tylko wybitno literature i piniondze daje na to żeby ich znali a jak ich znajom to i nas znajom zagranicom bo oni o nas ludziach piszom naszymi słowami rzeczywistość krytykują i stosunki i jeszcze mówili gdzieś że śe poeta różewicz bardzo obruszył że jenzyka muodzi nie szanujom ani pienkna a to pszecziesz różewicz sam jest ta pierdolona zaściankowa awangarda co to jenzkiem dupe wadzy socjalistycznej wylizała zdania z małej litery zaczynała chuj wie po co i bez kropek i niech spierdala dziaćko z tymi tekstami bo tacy jak on najpierw naszkodzili i zepsuli jenzyk a teraz drą... co to oni kurwa drą... aha szaty drą". [...]

Tyle krytyka i nauka o literaturze, wyrosłe w nowych już warunkach. On jednak wkrótce zaniechał eksperymentów. By tworzyć zgodnie z obowiązującą modą – mówiąc delikatnie niewyrafinowaną, bo w istocie wynikającą z konieczności a nie z idei – musiałby dalej nosić uwierającą maskę. A przecież nienawidził masek. Poza tym, próby wprowadzenia języka potocznego i języka marginesu społecznego do literatury nie były w końcu niczym nowym i mogły epatować co najwyżej zastępy ćwierćinteligentów. Nie mógł też uznać powszechnego już kultu antyintelektualizmu i jednocześnie pozostać w zgodzie ze swoim artystycznym sumieniem. Nie chciał pisać instynktownie, bełkotliwie i nieudolnie, jak uznani

prorocy Kościoła Wielkiego Prymitywu i ich uczniowie - oni wszyscy zresztą nie mieli innego wyjścia, bo nie potrafili pisać inaczej. On miał wyjście. Porzucił więc na zawsze konwencję epoki. Ukrył się przed hordami Attyli za wielkim murem chińskiej poezji dynastii Tang i własnej liryki filozoficznej.

Obłęd księcia Ventoux

Z Marsylii można tam dotrzeć jadąc początkowo autostradą i, omijając od wschodu Awinion, skręcić do Carpentras, stamtąd już wspinając się stromo lokalną drogą do Malaucène. Za kościołem trzeba skręcić w prawo i górkami serpentynami wjechać prawie na sam szczyt. Gdy czasu jest więcej, można wybrać drogę ciekawszą, mniej uczęszczaną, wiodącą przez Montagne du Lubéron. Po przekroczeniu rzeki Durance zaczyna się kraina górzysta i prawie bezludna, uśpiona zapachem lawendy, sosen i tymianku, śniąca pod czułą strażą zamków, klasztorów, kościołów i kaplic swój sen o dawnej potędze Prowansji. W Sault mały drogowskaz wskaże drogę na północny-zachód, niezwykle malowniczą, ale krętą, miejscami wąską i niebezpieczną, jakby jednocześnie kuszącą i pragnącą zniechęcić do odwiedzenia krainy, o której nigdy do końca nie wiadomo, czy jest bardziej legendą, złudzeniem czy rzeczywistością.

Jechał tam na zaproszenie księcia Ventoux, ostatniego potomka Jana de Beauduc, szlachetnie urodzonego rycerza, wsławionego w walce z Albigensami – heretykami brutalnie wytępionymi w pierwszej połowie trzynastego wieku – i jednego z pomysłodawców inkwizycji, tak doskonale później realizowanej przez dominikanów. Historia niewiele o nim mówi, wiadomo jednak z pewnością, że Jan de Beauduc należał do zdobywców Carcassonne, gdzie wsławił się niezwykłym okrucieństwem; był przyjacielem papieża Innocentego III

i protegowanym króla Ludwika VIII, który tuż przed śmiercią, w czasie drogi powrotnej z Awinionu, nadał mu ziemię i tytuł księcia Ventoux.

Piotr Wilhelm - bo takie imiona nosił ostatni z książęcego rodu - należał do mężczyzn subtelnych. Niewysoki, szczupły, siwiejący brunet, zawsze zadbany i nienagannie ubrany, wyglądał bardziej na lekarza rodzinnego czy adwokata, niż na człowieka pochodzącego w prostej linii od kogoś, kogo dzisiaj nazwalibyśmy zbrodniarzem. Jednak pomimo pozorów fizycznej normalności, posiadał cechę różniącą go od zwykłych ludzi, a którą obdarzeni byli wszyscy mężczyźni potomkowie Jana de Beauduc - dodatkowe małe palce u obu stóp. Z tego powodu wszystkie buty miał nieco szersze, robione na zamówienie, i poruszał się w sposób bardziej płynny, można by rzec, tygrysi. Jego matka, Teresa de Montfort, chciała pozbawić go tych palców zaraz po urodzeniu, zanim jednak zrealizowała ten zamiar, zginęła tragicznie spadając ze schodów. Wychowywany przez ojca, Filipa Wilhelma oraz liczne, zmieniające się często guwernantki i prywatnych nauczycieli, przystojny i błyskotliwy, wyrósł na młodzieńca, za jakim oglądają się kobiety w każdym wieku. Jak wszyscy mężczyźni noszący nazwisko Ventoux ukończył szkołę wojskową, zrobił doktorat z filozofii i osiadł na zamku w Gordes, jednym z kilku należących do rodu, poświęcając się - z chronicznego braku wypraw krzyżowych i wojen - ornitologii, filatelistyce i pisaniu poezji w języku prowansalskim. Wolne od twórczości literackiej i rysowania ptaków chwile poświęcał na romanse, które pewnie trwałyby długo, gdyby nie Maria Camarès, drobna, ponętna szatynka z Langwedocji. Jej zielone oczy i idealnie gładka skóra na równi z błyskotliwym intelektem opętały go niemal do szaleństwa

i doprowadziły do zaręczyn. Tworzyli piękną parę. Młodzi, bogaci, wykształceni, stali się dla całej południowej Francji symbolem szczęścia, aż do chwili, gdy starzejący się już Filip Wilhelm spadł z konia i po kilku dniach zmarł. Piotr i Maria okryli się żałobą, a po dwóch tygodniach zaręczyny zostały zerwane. Maria wstąpiła do klasztoru, a Piotr nigdy nie związał się z żadną kobietą. Wtedy też powstały jego najlepsze wiersze, zaliczane dzisiaj do klasyki literatury prowansalskiej, na równi z pieśniami trubadurów i poezją Mistrala, oraz słynny poemat „Camargue” opowiadający o miłości rycerza – zdobywcy Béziers i pięknej albigenski, którą, wbrew słowu danemu papieżowi, że wytnie wszystkich heretyków, uratował z rzezi i schronił się z nią na niedostępnych bagnach delty Rodanu. Dopiero po czterdziestu latach poemat ten przyniósł mu sławę i deszcz nagród, co dowodzi, jak bardzo potrafią się mylić tak zwani znawcy literatury co do siebie współczesnych poetów i pisarzy, zwykle wynosząc tych, z którymi przestają, a o których historia zapomina szybciej, niż spala się magnezja. Piotr Wilhelm Ventoux stał się dla maleńkiego Gordes tym, kim Kawafis dla Aleksandrii i Mistral dla Arles, i chociaż już od kilkudziesięciu lat mieszkał w Górnym Zamku, właściwej siedzibie rodu, przestał pisać i rzadko opuszczał twierdzę, to mieszkańcy całego Lubéron, ba, całej Prowansji i Langwedocji uważali go za swojego największego poetę i oddawali mu cześć niemal boską.

Zgodnie z listowną instrukcją, którą otrzymał od księcia, nie dojechał na sam szczyt, ale kilometr wcześniej zjechał z asfaltowej drogi. Skręcił na południe, w wąskie koleiny, ciągnące się stromymi serpentynami w stronę przysadzistej konstrukcji, sprawiającej wrażenie romańskiego kościoła. Poznał z opisu, że to Górny Zamek – znacznie

mniej okazały od kilku innych, należących do Ventoux, ale z jakiegoś powodu stanowiący od roku 1289 główną siedzibę rodu. Postawiony na grani, częściowo wykuty w skale, nie był najwyższym osiągnięciem architektury tamtych czasów, zachłystującej się już wtedy od stu pięćdziesięciu lat strzelistą wyniosłością gotyku. Z trzech stron chroniony urwiskami, z czwartej prowadziła do niego niezbyt szeroka droga, doskonale widoczna z zamku, ponieważ cały teren pozbawiony był w zasadzie roślinności – jeśli nie liczyć kępek z rzadka rosnących sucholubnych traw i ziół. Podobno pod budowlą ciągnął się system labiryntów i korytarzy, którymi obrońcy w czasie oblężenia niepostrzeżenie mogli się wydostać po żywność i pomoc. To przypuszczenie jeszcze bardziej pogłębiało aurę mrocznej tajemniczości, podobnie jak opowieści o ukrytych w zamku skarbach oraz nieszczęśnikach, którzy usiłowali je wykraść, lecz zagubieni pośród skalnych korytarzy umierali w nich z głodu i pragnienia.

Zatrzymał samochód przed solidną, drewnianą bramą i zatrąbił. Po chwili, z głośnym skrzypieniem otworzyły się wrota. Wjechał na dziedziniec, a właściwie nieduże podwórkko. Wysiadł, wyjął z bagażnika torbę podróżną, postawił ją na dachu auta i rozejrzał się dookoła. Dopiero wtedy zrozumiał, dlaczego wieczorami – tylko w domowym zaciszu i wystraszonego szeptem – mówi się o oblężeniu księcia, dziedzicznym jak szósty palec u stóp, szaleństwie niemal świętym, przejmującym potwornością swoich zdegenerowanych owoców. Całe podwórze było wybrukowane ludzkimi czaszkami – może prawdziwymi, a może wykonanymi z dolomitu lub jakiejś innej miejscowej skały. Podobnie wewnętrzne mury zamku, niczym makabryczna mozaika, składały się z tysięcy czaszek, ułożonych jedna na drugiej. Miał wrażenie, że

każda jest inna, różniły się wielkością, uzębieniem, stopniem uszkodzeń. Z oczodołów i ust wielu z nich wyrastały rozchodniki i rojniki, skalnice i mak alpejski, a w miejscach nasłonecznionych lawenda i tymianek – nawet dla niespecjalnie zaznajomionego z botaniką człowieka, to pomieszanie roślin, pochodzących z różnych stref klimatycznych, wydawało się dziwne. Niektóre z wyżej położonych czaszek zajmowały ptaki, głównie wróble i jaskółki, znajdując w nich przytulne gniazda.

Stał na środku podwórza i z podziwem wymieszanym ze strachem przyglądał się makabrycznemu widokowi. Gdy otworzyły się drzwi wieży i stanął w nich średniego wzrostu, przystojny mężczyzna po sześćdziesiątce, rozpoznał w nim księcia Ventoux. Ubrany był w nieskazitelnie biały, sportowy garnitur, kapelusz borsalino i czarną apaszkę w srebrne grochy. Nie miał butów i wyraźnie było widać dodatkowy szósty mały palec u każdej stopy, rosnący nieco na zewnątrz. Księżę zbliżył się do niego zgrabnie przeskakując z czaszki na czaszkę, w sposób wyraźnie wskazujący nie na przypadkowość, ale na przemyślany i głęboko uzasadniony system kroków. Stanął, zdjął kapelusz, uklonił się, wymamrotał coś po prowansalsku i zniknął w drzwiach po drugiej stronie małego dziedzińca. Po chwili wyszedł mężczyzna, którego strój wskazywał na pełniącego na zamku funkcję lokaja. Bez słowa wziął torbę i wskazał kolejne drzwi. Poszedł za służącym, małym garbatym człowieczkiem z zastygłym na twarzy diabolicznym grymasem ni to uśmiechu, ni to bólu. Wspinali się po kamiennych, krętych schodach oświetlonych słabymi żarówkami, aż znaleźli się w wąskim korytarzu, na którego końcu ujrzał drzwi pokryte płaskorzeźbami, wskazującymi na niezłe umiejętności rzemieślnicze ich autora, i jego niespożytą wyobraź-

nię. Wyrzeźbione sceny przedstawiały nagie kobiety z końskimi głowami grające w szachy z delfinami, małpy w królewskich koronach przeglądające się w lusterkach, mężczyźni splecionych w miłosnych uściskach z dwunogimi bykami i erosy oślepiające myśliwskie psy. Klamka z brązu, w kształcie fallusa, wystawała z ogromnego zamka przypominającego waginę. Weszli do środka. Wnętrze pokoju, w którym miał spędzić najbliższe dni, urządzone było ze smakiem, w tonacji sieni i beżu, z elementami stłumionej czerwieni, żółci i błękitu. Pod oknem stało duże dębowe biurko z przyborami do pisania, na ścianach wisiało kilka obrazów – doskonałych kopii późnego van Gogha albo dzieł jego epigona – i kilka pastelii Witkacego, robiących wrażenie oryginalnych portretów. Całość uzupełniały dwa pluszowe fotele, wygodne szerokie łóżko, krzesło i szafa. Za kolejnymi drzwiami znajdowała się łazienka, mała, ale za to z dziewiętnastowieczną mosiężną wanną, urządzona w słonecznych kolorach i ozdobiona stojącymi w trzech wazonach suszonymi kwiatami. Swoim zwyczajem od razu postanowił wziąć szybki prysznic. Gdy wyszedł, jak zwykle niewytarty, znalazł na biurku zostawioną przez garbatego lokaja informację, że obiad jest o szesnastej, w ogrodzie.

Książę już czekał, wygodnie rozparty w wiklinowym fotelu, z papierosem w dłoni. Bez kapelusza wyglądał nieco starzej, ale za to godniej, z widoczną siwizną i długimi, przerzedzającymi się włosami. W jakiś niejasny sposób doskonale komponował się z ogrodem, który, ukryty za wysokim wapiennym murem, z jednej strony stanowił absolutnie piękne dzieło sztuki, wspartej ogromną wiedzą o uprawie roślin, z drugiej, jawił się na pierwszy rzut oka jako zbiorowisko najbardziej makabrycznych wytworów rzeźbiarskiej pracowni szaleńca, jakby celowo

wyszukanych najpotworniejszych form wykutych genialną ręką w kamieniu. Nigdy jeszcze, w żadnym ze znanych sobie ogrodów, nie widział takiego przedziwnego zestawienia oszałamiających urodą i wonią kwiatów z monstrualnymi i zdeformowanymi ludzkimi postaciami. A wszystko na niewielkiej, wyrąbanej w skale powierzchni, co potęgowało intensywność sprzecznych doznań. Ventoux zauważył jego oszołomienie, wziął go pod rękę i oprowadził po tej swoistej galerii. Z dumą wyjaśniał, że to licząca osiem wieków kolekcja tworzona przez jego przodków, którzy zatrudniali najlepszych artystów swoich czasów, by uwiecznili w białym marmurze owoce bujnej, a niekiedy chorej książęcej wyobraźni. Skuszeni sowitą zapłatą rzeźbiarze tworzyli tutaj w tajemnicy przed światem dzieła, o jakich nie słyszano wśród historyków sztuki. Nic zresztą dziwnego, że historia milczała o tym zbiorze kamiennych arcydzieł. Artyści, ani nikt ze świadków, nigdy o nich nie wspominali, pod groźbą śmierci i potępienia – o tyle poważną, że wszyscy Ventoux byli znani z dotrzymywania obietnic i dobrze ustosunkowani na dworze papieskim, mieli również liczne znajomości pośród możnych i władców. Nie mniej istotna była też ciągle żywa pamięć o pierwszym z nich – okrutnym Janie de Beauduc.

Szli powoli, oglądając rzeźby ustawione zgodnie z porządkiem chronologicznym, przystając kolejno przed dziełami Pisano, Donatella, Michała Anioła, Berniniego; nie brakowało nawet bardziej współczesnych – Rodina i Arpa. Niezależnie od epoki i talentu artysty, przedstawiały one postacie nagie, często zdegenerowane i wynaturzone, z okrutnymi grymasami na twarzach, spółkujące z węzami, mordujące własne dzieci, duszące się wzajemnie – piękne jako formy, potworne jako treść. Szczególną uwagę

przykuwała rzeźba dłuta Donatella, przedstawiająca kobietę z głową konia – taką samą jak te na drzwiach jego pokoju. Jednak w wersji z marmuru, kobieta o niezwykle pięknym ciele nie grała w szachy z delfinem, lecz ujeżdżała klęczącego, nagiego i garbatego mężczyznę z nadnaturalnej wielkości fallusem, jedną ręką ciągnąc go za włosy, drugą wbijając mu w odbył trójząb gladiatora. Interesująca w swej absolutnej potworności była też rzeźba Hansa Arpa, przedstawiająca monstrualną waginę, z której wypelzały Erynie duszące Danae – jak głosił napis wyryty na postumencie przez artystę. Pomiedzy kolejnymi rzeźbami ksiązę opowiadał o Francesco Petrarce, który, bawiąc tutaj z wizytą, 26 kwietnia 1336 roku zdobył szczyt Ventoux dając początek alpinizmowi, jako że wszedł na tę górę tylko po to, aby ją zdobyć. Uczcił to wydarzenie poematem, który wraz z wieloma innymi napisanymi w Górnym Zamku wierszami poety, pozostaje dla świata nieznanymi i znajduje się w zamkowej bibliotece. Innym sławnym poetą goszczącym w twierdzy był Frederic Mistral, ukochany mistrz Piotra Wilhelma, piszący po prowansalsku, a wcześniej był tu Kawafis, którego homoseksualne skłonności podzielał jeden z Ventoux. Każdy goszczący tutaj artysta zostawiał jakieś dzieło, inspirowane tym miejscem lub okolicą, stąd zamek pełen jest najwspanialszych przykładów prozy, poezji, sztuk plastycznych a nawet fotografii. Wiszące w jego pokoju obrazy van Gogha i Witkacego to, jak zapewnił ksiązę, oczywiście oryginały – van Gogh, uzyskawszy tutaj na krótko pełną równowagę ducha, co potwierdzają jego niepublikowane listy do brata, postanowił powtórnie namalować kilka ze swoich pejzaży, dodając typowe dla tutejszego krajobrazu elementy, jak na przykład boria – chatki pasterskie, zaś Witkacy z upodobaniem malował

portrety wszystkich mieszkańców zamku, upijając się nalewką na miodzie lawendowym, i napisał szkic nieznaney, rzecz jasna, powieści „Zapępienie dziwności” oraz dramat „Metafizyczne zgryźbienie Wątułów” – wszystko dostępne w bibliotece i na ścianach zamkowych komnat.

Po obiedzie, który upłynął na rozmowach o filozofii średniowiecznej i łagodnej polemice o roli szkoły w Chartres dla współczesnej cywilizacji, książę poprosił go, by został na zamku jak długo zechce, ale także, by napisał coś wierszem lub prozą i zostawił jako ślad swojego pobytu – oczywiście groźba śmierci na wypadek ujawnienia dzieła już od lat nie istniała, ale dyskrecja była mile widziana. Zgodził się na to chętnie, tym bardziej, że towarzystwo było wyśmienite – na jednej półce z Witkacym, Kawafisem, Petrarą – kto by odmówił. Zanim przystąpił do pracy, odwiedził bibliotekę. Rzeczywiście, rękopisy wydawały się autentyczne, podobnie jak dedykacje na podarowanych książkach. Zrozumiał, że to są prawdziwe skarby rodu Ventoux, o jakich mówiono we wsiach i miasteczkach Prowansji.

Wieczorem zaczął pisać. W końcu wypadało podziękować księciu za zaproszenie, które samo w sobie było wielkim wyróżnieniem. Pierwszy wiersz nosił tytuł „Zamek”. Zadedykował go gospodarzowi, chociaż to strofy osobiste, autobiograficzne i tchnące cudowną arogancją. Ale obaj uwielbiali taką błyskotliwą bufonadę – szczególnie, gdy uderzała w chamów, przebranych za panów. Przeczytał go Piotrowi Wilhelmowi po śniadaniu – książę był zachwycony:

Budowałem swój zamek
na twardej opoce,

wysoko ponad doliną.
Nosilem gładkie rzeczne kamienie,
czasem ostre głazy z piargów,
by budowla
nie była jednolita.
Praca przyjemna
i niezbyt męcząca.
Szczęśliwy
często siadywałem pod jarzębiną,
podziwiając widok
z mojego szczytu.

Mieszkańcy doliny śmiali się ze mnie.
Nie wierzyli,
że można budować z kamieni,
do tego tak wysoko i samotnie.
Najbardziej szydzili ci,
którzy nie mieli domów,
wtórowali im żyjący w chatach
z błota i gałęzi.
Tym, którzy mieli domy z cegieł,
nie było już do śmiechu.
Mówili jedynie
o wyższości wypalanej gliny
nad kamieniem.
Właściciele bogatych pałaców
patrzyli zazdrośnie,
czy moja budowla
nie przyćmi urodą i mocą
ich siedzib,
wzniesionych zbiorowym wysiłkiem.
Tylko nieliczni panowie
okolicznych zamków

mieli dla mnie uznanie.
Oni znali rzadką sztukę budowy
na szczytach.

Nie minął rok,
a gmach już lśnił w słońcu.
Pierwsi strudzeni wędrowcy
zachodzili w moje progi.
Mówili, że droga do zamku trudna,
ale warto ją było pokonać
dla magicznych wnętrz,
wykutyh w skale komnat,
ciepła kominka
i herbaty z rumem.
Widok z wieży
też był godną zapłatą
za wysiłek.
Niektórzy
zostawali na noc,
inni znacznie dłużej.
Już nie byłem całkiem samotny.

Ludzie z doliny
przestali się śmiać.
Mówili tylko z pogardą
o moim zamku i o mnie.
Podobno też,
opowiadali przyjezdnym historię
mojego szaleństwa.
Niektórzy
sprzedawali pamiątki –
małe zameczki
rzeźbione w drewnie.

Wiem to
od prawdziwych wędrowców.

Pewnej nocy miałem sen:
pękła tama w górze doliny,
gniewna woda zmyła lepianki
i zburzyła pałace.
Wszyscy zginęli.
Tylko panowie na zamkach zostali
niewzruszeni.

Kilka dni później
zawitał starzec.
Dziwnie znajomy i krzepki.
Mówił o strasznej powodzi,
która oczyściła dolinę.

- Może teraz złączą budować
jeśli nie z lepszej materii,
to przynajmniej z głową,
nie na samym brzegu rzeki -
powiedział.
- Szkoda tylko,
że smród trupów tak potworny.

W ciągu kilku następnych dni powstały kolejne wiersze. W sumie napisał ich dwanaście, pod wspólnym tytułem „Liryki Prowansalskie”. Opublikował tylko ten jeden, pozostałe skrywa biblioteka rodu Ventoux.

Każdej nocy na zamku dochodziły go dziwne dźwięki, które początkowo uznał za właściwe dla tak starej budowli, gdzie po strychach i korytarzach hula wiatr. Później podejrzewał o ich wydawanie zwierzęta - liczne tutaj

nietoperze, żenety, puchacze i orły. Jednak niektórych odgłosów nie mógł przypisać żadnemu zwierzęciu, przeciągom czy drewnianym podłogom i belkom. W końcu postanowił zapytać księcia zarówno o niepokojące dźwięki, jak i o pochodzenie czaszek na zamkowym dziedzińcu i murach. Ventoux nie wydawał się zaskoczony pytaniem. Odpowiedział, badawczo spoglądając na gościa i mrużąc oczy, że czaszki są prawdziwe, zbierali je jego przodkowie oraz on sam. Pochodzą z pól bitewnych całego świata, począwszy od Carcassone a skończywszy na Bośni. Każda czaszka jest zaksięgowana, ma swój numer, opis i znajduje się na planie, który wisi w gabinecie. Niektórym nawet – jeśli dało się to ustalić – przypisane jest konkretne imię i nazwisko. Za najcenniejsze jednak uważa te, które należały do ważnych albigensów, czarownic i dziewic posądzonych o kontakty seksualne z diabłem. Jest ich stosunkowo niewiele i są w najgorszym stanie, ponieważ do wyjątkowego zniszczenia przyczynił się ogień stosów. Wymagają więc częstej konserwacji, szczególnie po zimie, która na tej wysokości potrafi przynieść mróz a nawet śnieg. Natomiast w kwestii dźwięków zaproponował, że wszystko wyjaśni po kolacji, oczywiście, jeśli gość zobowiąże się do zachowania tajemnicy.

Przed wieczorem udali się do podziemi. Rzeczywiście, jak głosiły prowansalskie opowieści z Montage du Lubéron, korytarze były kręte, oświetlone jak wszystkie przejścia w zamku mdłym światłem najslabszych żarówek. Podczas tej dziesięciminutowej wyprawy poczuł się całkowicie zagubiony i gdyby nie ciekawość i obecność księcia, zawróciłby z przyjemnością. Po kilkunastu krokach zupełnie prostego odcinka skalnego tunelu, dotarli do drzwi, podobnych do drzwi jego pokoju, ale ze znacznie mniej wyrafinowanymi zdobieniami. Po ich otwarciu

ukazała się jego oczom sala, w której znajdowały się regały zastawione akwariami. Pływały w nich zanurzone, zapewne w formalinie, najdziwniejsze ludzkie stwory, jakich nigdy by nie wymyślił, istne humanoidalne potwory, zdegenerowane monstra, jednookie, pozbawione kończyn lub mające ich nadmiar, dwugłowe, garbate i pokryte guzami, gęsto owłosione lub posiadające sześć piersi. Wszelkie ponure niedoskonałości, ewidentne pomyłki Stwórcy i Natury znalazły się tutaj, jako kolejna, tym razem naprawdę potworna kolekcja rodu Ventoux. Pomiedzy regałami uwijał się garbaty lokaj, który go tydzień temu zaprowadził do pokoju, podobny zresztą do pozostałej służby, wyglądającej jak jednojajowe pięcioraczki. Przeszli przez to potworne panoptikum i dotarli do kolejnych drzwi, za którymi była wmurowana krata i znajdował się przytulnie urządzone pokój z niedużym oknem wychodzącym gdzieś na południe lub południowy zachód, jak zdążył się zorientować po kierunku światła i kolorach wieczornego nieba. Na łóżku ktoś leżał. Na ich widok podniósł się leniwie. Było to monstrum, podobne do jednego z tych zanurzonych w akwariach, ale żywe. Niedużego wzrostu, z łysą, pokrytą olbrzymimi guzami czaszką, szpiczastymi uszami, wyraźnym garbem, szponiastymi dłońmi i zdeformowaną twarzą, obdarzony wyjątkowo potężnymi organami płciowymi, zaznaczającymi się pod spodniami. Potwór podszedł do nich, powąchał przez kratę, coś wymamrotał i wrócił do łóżka. Dopiero teraz książę zaczął wyjaśniać, że kolekcję tych dziwacznych okazów stworzył jego dziadek, na którego zlecenie na całym świecie wyszukiwano zdegenerowane ludzkie formy, zabijano i przysyłało do zamku jako eksponaty zoologiczne. Z kolei ojciec, Filip Wilhelm, zdobył kilka żywych egzemplarzy humanoidów

w różnym wieku i hodował je tutaj, prowadząc nad nimi badania i próbując dociec przyczyny tak straszliwych deformacji. Jednocześnie usiłował rozwinąć ich możliwości intelektualne, ale te najbardziej pojętne z istot były w stanie co najwyżej pisać nowoczesną poezję i uprawiać malarstwo abstrakcyjne. Początkowo żyły krótko, od niemowlęctwa do śmierci około dwudziestu – trzydziestu lat, z czasem jednak, wraz z postępem farmacji coraz dłużej, nawet do czterdziestu kilku, jak ten, Marcel, ostatnia zdobycz Filipa Wilhelma. Gdy umierały, robiono im sekcje, badano narządy, zaszywano i zanurzano w formalinie. Księżę długo nie wiedział o tym procederze, chociaż mieszkał tutaj jako dziecko, kilkanaście metrów nad nimi. Powiedział mu o wszystkim ojciec, dopiero na łożu śmierci, i nakazał, by poświęcił się sześciorgu spotworniałym istotom, zamkniętym w głęboko wykutych w skale i trudno dostępnych zamkowych celach. Wtedy też przyznał się Piotrowi Wilhelmowi, że sam zrzucił ze schodów jego matkę i dobił ją pogrzebaczem – zrobił to, ponieważ uparła się, że amputuje jego synowi szóste palce, na co jako Ventoux nie mógł się zgodzić za żadną cenę. Piotr, poznawszy już wszystkie mroczne rodzinne tajemnice, postanowił rozstać się ze swoją narzeczoną, Marią Camarès, by jej nie narażać na życie w nieustającym koszmarze, i całkowicie porzucił myśl o posiadaniu potomka, uznając, że powoływanie do życia kolejnego Ventoux byłoby krokiem nieodpowiedzialnym, i że najlepszym rozwiązaniem będzie poświęcenie się opuszczonym przez Boga nieszczęśnikom oraz sztuce. Wtedy to zrozpaczona Maria, nieświadoma przyczyn jego decyzji, wstąpiła do klasztoru w Vence, a on przez lata zajmował się poezją i wymierającymi powoli podopiecznymi, z których do tej pory został tylko Marcel,

czterdziestopięcioletni i bardzo agresywny okaz. Jego to słyszeli mieszkańcy okolicznych miasteczek, uważając, że to duchy pomordowanych na zamku heretyków wołające o modlitwę.

Rankiem pożegnał się z księciem i wyjechał, zostawiwszy przepisane na czysto „Liryki Prowansalskie”, w tym ostatni, chyba najlepszy ze wszystkich, pisany nocą po wizycie w podziemiach, zatytułowany „Lawendowe pola”. Zadeedykował te wiersze Piotrowi i Marii. Po kilku miesiącach dostał od księcia list z informacją, że Marcel zmarł. Rok później całą Prowansję obiegła wieść, że ostatni Ventoux nie żyje – jego ciało znaleziono w zamkowej wieży. Pozbawione szóstych palców leżało w miejscu, gdzie zginęła Teresa de Montfort. Przyczyn śmierci nie ustalono. W testamencie zostawił wszystko siostrom z klasztoru w Vence. Przełożona sióstr, Maria Camarès, przyjęła dar z wdzięcznością.

Matka i sierpień

Słodyczne były jej namiętnością. Namiętnością tak wielką, że podczas rodzinnych obiadów uprawiała swoisty rodzaj handlu wymiennego, proponując w zamian za deser swoją porcję drugiego dania. Zwykle transakcja dochodziła do skutku, uszczęśliwiając obie strony, każdą z nich pozostawiając w przekonaniu, że zrobiła doskonały interes – co jest podstawą dalszej niezakłóconej i owocnej współpracy. Pomimo skłonności do czekolad, czekoladek, cukierków, ciast i ciasteczek, ptifurków, kremów, lodów i galaretek, zachowywała świetną figurę, świeżą cerę i idealne zęby, co może się wydawać niemożliwe, niemniej to prawda. Udawało się to dzięki usunięciu z menu wszelkich innych niż słodyczne potraw, bezwzględnej kontroli liczby spożytych kalorii, zamiłowaniu do spacerów i ruchu w ogóle oraz przesadnej, ale adekwatnej do nasyconej cukrami diety higienie. Wiele też zawdzięczała genom – wyposażona bowiem była przez przodków wspaniale: uroda włoskiej contessy, wdzięk chińskiej tancerki, francuski esprit i niegasnący młody wygląd, który sugerował działanie już nawet nie tyle pocziwej, pospolitej genetyki, co silną ingerencję sił nieczystych. Jediną jej wadą była zmiennosc nastrojów; z czasem jednak całe otoczenie wiedziało, że nagły spadek jej dobrego samopoczucia wynika albo z braku słodkości w domu, albo z nadchodzącej burzy. O ile temu pierwszemu łatwo można było zapobiec, to wpływ na procesy zachodzące w atmosferze zostawał poza zasięgiem ludzkich

możliwości. Szczęśliwie, burze nie należały do zjawisk nadzwyczaj częstych, a zapasy ciasteczek i czekoladek systematycznie uzupełniała sama, więc wahania jej nastrojów nie dawały się we znaki z częstotliwością, która byłaby dla bliskich uciążliwa.

Kiedy przychodził sierpień, zabierała go ze sobą w podróż. Nie był to zwykły wyjazd, na jaki matki zabierają swoje dzieci, męcząc się z nimi niemiłosiernie, udając matczyne szczęście i jednocześnie wodząc cielecymi oczami za przedstawicielami płci brzydkiej, którzy, uwolnieni od własnych dorodnych żon i upiornego przychówku, spędzają urlop samotnie, oczekując erotycznej przygody z kobietą nieznajomą i dojrzałą, najlepiej jakąś wyimaginowaną, tajemniczą, niemal filmową femme fatale, której nie wpadnie do głowy idiotyczny pomysł małżeństwa czy zajścia w ciążę, a może być dostarczycielką niezapomnianych emocji i uczestniczką perwersyjnych aktów seksualnych, o jakich śni smętna kadra życiowych nieudaczników. Wyjazdy z matką były antytezą tych pospolitych wczasowych zachowań i ciemnych celów – były, i nie jest to przesada, prawdziwymi ekspedycjami po nowe, nieznane smaki słodyczy. Świadoma swojej nieprzeciętnej urody i seksapilu, wyniośle ignorowała zaloty żalonych, puszących się samców, pozostawiając wolne pole dla kobiet ich godnych: niepewnych siebie i brzydkich, a całą energię poświęcała na wyszukiwanie i spożywanie lokalnych cukierniczych przysmaków, oraz na gubienie kalorii poprzez energiczne marsze po górskich czy leśnych ścieżkach.

Uwielbiał te wyjazdy. Nie tylko dlatego, że mógł zjadać do woli wszystko, co lekarze w swej bezdusznej bezwzględności i ograniczonej wyobraźni uważają za niezdrowe, ale również dlatego, że zwiedzili w ten spo-

sób sporą część świata. Jego późniejsza skłonność do podróżowania i górskich wędrówek niewątpliwie była w dużym stopniu skutkiem sierpniowych wakacji z matką, jakąś odcisniętą przez nią w podświadomości chłopca i pielęgnowaną później – już przez chłopca dorosłego – ekskursywno-degustatywną matrycą. Potwierdzało to widoczne u niego, według niektórych graniczące niemal z natręctwem, przywiązanie do obyczaju odwiedzania jak największej liczby kawiarni i cukierni, napotkanych w nowym miejscu, oraz towarzyszące tym wizytom namiętne oglądanie, wąchanie, próbowanie lokalnych słodkich specjałów a także miejscowych wersji specjałów kosmopolitycznych, przypominające w swym niezwykłym skupieniu bardziej studiowanie tych przedmiotów, niż wstęp do ich pospolitego spożycia. Czynności te bezwzględnie łączył z degustacją kawy i wspomnianiem matki, przywoływaniem scen z podróży z piękną contessą, które odtwarzał z rozkoszą, siedząc nad porcją swojego ulubionego tiramisu lub jakiegokolwiek innej zmysłowej substancji.

Ogólna teoria jesieni

And sit once more alone with sprawling papers,
Bitten-up letters, boxes of photographs,
And the case of butterflies so rich it looks
As if all summer settled there and died.

Philip Larkin, *Autumn*

Jesień jest dobra. To pora unoszącej się w powietrzu egzaltacji zapachów, roślinnych i owocowych ewaporatów, połączonych z anarchistyczną nonszalancją, która, jak wiadomo, przystoi jedynie bogom, i naturze. Jesień to czas burzenia skostniałych porządków, czas, gdy barwne liście, ci nadrzewni heretycy, odstępcy od zielonej, monotonnej dyktatury lata, występują otwarcie przeciwko jego pospolitej urodzie, zadziwiając niespożytą energią w odkrywaniu kolorów i zapierając dech tylko im właściwą swobodą lotów, dzięki której mieszają się w powietrzu i wymijają, zderzają i splatają w ekstazie, spoczywając w końcu na szmaragdowych trawnikach, sycąc się sobą i wprawiając w zdumienie tymi gorszącymi scenami zwierzęta, przyzwyczajone do bardziej konwencjonalnych zachowań w królestwie roślin.

Jesień wcale nie jest końcem – przeciwnie, jest początkiem, co łatwo sprawdzić, przyglądając się bezlistnym już drzewom i krzewom, które, wyposażone w gotowe do wystrzelenia pąki liści, czekają całą zimę

niecierpliwie, jak dziewczynki marzące o dorosłości, by tak jak one, we właściwej chwili zaiskrzyć skrywaną urodą, zaskoczyć jasnozieloną młodzieńczą uwerturą, a po niej wprowadzić w oszołomienie radosną, wiosenną symfonią kwiatów, niepostrzeżenie zamieniającą się w porywającą, perwersyjną orgię z owadami. Niestety, trwa to krótko. Kolory i zapachy wiosny odchodzą jak kobiety – nagle i nieodwołalnie, zostawiając tylko bolesne wspomnienie i nudę prostackiego lata, z której wyzwala dopiero jesień.

W wierszu Philipa Larkina pudełko fotografii to jeden ze smaków odchodzącego lata, jego nostalgiczne residuum, podobnie jak spreparowane okazy motyli w gablocie czy nieuporządkowane notatki na luźnych kartkach papieru. U niego jesień jest złą siostrą jeszcze gorszej zimy. Tak to widać z okien biblioteki, zza grubych szkieł okularów, gdzieś w wilgotnym, wiecznie pochmurnym zakątku Albionu. Jednak w kontynentalnym ogrodzie wygląda to zupełnie inaczej – gorycz odejścia lata jest przystawką przed smakiem lekkim, wykwintnym i oczekiwanym, serwowanym na ciepło specialite de la maison, nieprzytomnym od czerwieni, żółci, brązu i zieleni oraz ich dowolnych kombinacji, zabarwionym dla kontrastu nutą błękitu nieba. Zaś gdy przyjdzie właściwa pora, danie główne zamienia się w wyrafinowany deser, kunsztownie inkrustowany kryształkami szronu, mieniącymi się wszelkimi odcieniami różu i brzoskwini. A nawet jeśli zdarzy się tak, że atmosferyczne nize znad oceanu przyniosą ze sobą zwały ocieężałych od deszczu chmur i porywiste wiatry, wprowadzając wszelkie istoty w nastrój melancholijny, zmuszając tym samym do rozpalenia w kominkach i sączenia wiśniówki, jest pewne, że nadejdzie dzień, gdy słońce wystrzeli ponad horyzont, i będzie można wyjść do ogrodu, cieszyć się smakiem

zerwanych z drzewa gruszek, roześmianą beztrosko czerwienią owoców głogu, zapachem dojrzałych śliwek i szelestem rozgarnianych nogami liści.

Od lat odrzucał larkinowską koncepcję jesieni, uznając ją za nieobiektywną, wyrosłą z naiwnego, gabinetowego poznawania zjawiska, i w swoich polemikach z Larkinem zarzucał mu, że czerpie on swoją bezużyteczną wiedzę z książek i gazet, żyjąc tym samym złudzeniem kopisty, podobnie jak bohaterowie Flauberta – Bouvard i Pècuchet, dwaj głupcy zanurzeni w krynicy papierowej mądrości. Urażony Larkin bronił się twierdząc, że poznawał jesień organoleptycznie, i że jego materiał badawczy jest bardziej rzetelny, bo obejmuje większą serię obserwacji, z wielu lat. Zaciekły spór zakończył się dopiero wtedy, gdy opublikował pracę „Ostateczna krytyka jesieni Larkina”, w której dowiódł, że angielski poeta ograniczył się jedynie do zbadania powierzchniowej fizyczności jesieni, tego, co można zobaczyć, natomiast pominął zupełnie badanie tego, czego nie widać. Słabością Larkina był również brak poznania przedmiotu drogą logiczno-matematyczną, znaną z nauk przyrodniczych, jak na przykład astronomia, gdzie odkrywa się nowe, niewidzialne gwiazdy za pomocą obliczeń, a nie obserwacji nieba. Pokonany Anglik przyznał też w jednym ze swoich ostatnich artykułów, że jego lato pachnie celulozą i fotograficzno-entomologicznym panoptikum, oraz że będąc zwykłym krótkowzrocznym bibliotekarzem, nigdy nie prowadził badań terenowych, ani nawet nie opracował metody analizy jesieni, więc w istocie może się mylić.

Wkrótce po tym, jak ustały ich brutalne intelektualne polemiki, jesień odzyskała należne jej miejsce w hierarchii pór roku. W niepamięć odeszły poglądy piewców dusznego proletariackiego lata – niewiele brakowało, by

ich książki znalazły się na indeksie razem z hagiografiami zimy. Parlament nawet rozważał możliwość częściowej likwidacji lata oraz obłożenia go podatkiem, jednak zwyciężyła opcja umiarkowana i jedynie skrócono je do ośmiu tygodni, zmieniając przestarzałą ustawę o przesileniu letnim i równonocy jesiennej na nową, spełniającą wymagania nowoczesności. Pewien niepokój wzbudziły opornie zachodzące zmiany nachylenia osi ziemskiej do płaszczyzny ekliptyki, za co winą pierwotnie obarczano terrorystów, jednak okazało się, że to wynik niedoskonałości ustawy zasadniczej, bowiem po wprowadzeniu poprawek do konstytucji astronomiczne i klimatyczne pory roku wyrównały się i ustabilizowały. Natomiast koncepcje Larkina wylądowały na najdalszych półkach uniwersyteckich bibliotek, pokrywając się kurzem i pajęczyną, stając się jedynie ciekawostką dla wąskiego grona specjalistów, zajmujących się burzliwą i arcyciekawą historią poglądów na jesień.

Widzenie na górze

Takie piękności pojawiają się rzadko. Co najwyżej raz na kilkanaście lat, i też nie wszędzie. Zwykle spadają, nagle, niczym gwiazdy, objawiając swoją niepospolitą urodę w równie niepospolitych miejscach – krajach najczęściej baśniowych, odległych lub zapomnianych – i na krótko, jakby śpieszyły obdarzyć sobą wszystkich, którzy na to zasługują z racji tak rzadkiej w dzisiejszym świecie autentycznej poetyckiej wrażliwości.

Kiedy szła ulicami Mostaru, Sarajewa, Banja Luki a nawet odległego Belgradu, oglądali się za nią wszyscy. Także kobiety, niektóre nią zauroczone, niektóre w niej zakochane, inne zazdrosne o jej idealne ciało i emanujący tajemniczy powab, który oszalał, ba, odbierał rozum wszystkim niemal mężczyznom. Kiedy szła przez miasto, ulice wyginały swoje łabędzie szyje zdobione świecącymi latarniami, by móc na nią dłużej patrzeć, tramwaje stawały w arteriach zdumione zmieniającą się wtedy nagle trasą, a samochody nie mogły dojechać na miejsce krążąc wkoło z bezsilną złością, jak uwięzione w szklance osy – tak wszystko się zapętało, gdy szła przez miasto. Także czas zachowywał się niezwykajnie, bowiem sprawiał wrażenie, jakby rozszerzał się i jednocześnie kończył, albo też ruszał do przodu i cofał się zniemacka podobny koniom bojącym się wejść do rzeki, wprawiając swoim niezdecydowaniem w zdumienie i nerwowość wszystkie zegary, nawet dworcowe, słynące przecież z niewzruszonej racjonalności, i te w zakładach pracy, znane z nieprzekupnego

pragmatyzmu czasomierze. Również pełne życia bogate domy, wille i pałace zachowywały się dziwnie: zamierały na chwilę, gasiły światła i mruczały jak syberyjskie koty, kiedy przechodząc muskała je dłonią, ocierała się o nie udami, kusila pełnymi piersiami piętrzącymi się dumnie pod ciemną suknią.

Nie brakowało jednak wśród ludzi takich, którzy skazywali ją na potępienie i chcieli, by została obłożona ekskomuniką, a przynajmniej poddana egzorcyzmom i wypędzona. Ci stanowili mniejszość i należeli do tych ułomnych nieszczęśliwców, zazdrosnych podłych hipokrytów, pozbawionych wrażliwości estetycznych impotentów, którym zostały już tylko bolesne wspomnienia z czasów szkoły, kiedy uważali, że oni i ich dziewczyny nigdy się nie zestarzeją, a teraz przeżywali głębokie rozczarowanie bezwzględną naturą czasu i jej przykrymi konsekwencjami.

Zobaczył ją kogoś gorącego lata, jednego z tych, kiedy dopiero wysoko w górach można odetchnąć rześkim powietrzem. Leżał na szczycie Leliji, z głową na plecaku i splecionymi na piersiach dłońmi. Wsłuchany w wieczorną muzykę górskich traw, układał poetycki traktat o Nocy. Wtedy przyszła. Znad odległych, łagodnych w mgiełce zmięczeniu zboczy Tary i bliskich, ostrych grani Maglića. Otuliła go nagle miękkimi ramionami i aksamitnymi, ciepłymi udami, piękna i wyzywająca, gwałtowna jak spragniona namiętna kochanka, pachnąca granatem i czernią. Posiadła go, roziskrzona gwiazdami, nieznosząca sprzeciwu wspaniała despotka. Idealna jak marzenie, jak matematyczny model nadkobiecości. Poczuł zawrót głowy i fizyczną, doskonałą rozkosz. Miał wrażenie, że spada, jednocześnie zagłębiał się w siebie i we wszechświat z mocą Najwyższej Istoty. Było to jak

ośnieniu. W jednej chwili poznał największe tajemnice i zrozumiał sens Wszechrzeczy. Wszystko nagle stało się proste i jasne, jak po kokainie, a psychiczne orgazmy następowały jeden po drugim, tak silne, że wprawiały w drżenie całe ciało. Momentami przychodziło otrzeźwienie i wtedy wydawało mu się, że to atak konwulsji, więc pomiędzy napadami drgawek zacisnął zęby na skórzanych rzemieniach plecaka, żeby nie przygryźć sobie języka. Spowodowało to na krótko jeszcze większą psychiczną i fizyczną rozkosz, która, jak ogień, z czasem zaczęła powoli słabnąć, przygasać i zamieniać się w żar, by po chwili ledwie już tylko migotać garścią rubinów, ginąć po cichu, aż zniknęła w bezdennej czeluści Nocy.

Kiedy się ocknął, zobaczył, jak odchodzi, piękna i silna, powoli zanurzając się w rozespanych o poranku, różowiejących falach Neretwy.

Prokletije

Ostatni raz widziano go, gdy wybierał się na górską wędrowkę przez Prokletije, Ziemię Potępioną – potępioną, ale tak piękną, że nawet przyziemni księgowi i bezduszni sprzedawcy ubezpieczeń nie wyobrażali sobie, że można umrzeć gdzie indziej, a cóż dopiero mieli sądzić o tym skrawku ziemi prawdziwi poeci – ci nieliczni, nienasycony głęboką myślą szaleńcy, esteci i filozofowie, paktujący ze wszystkim, co przeklęte, by wznieść się na szczyty i z nich beznamytnie spoglądać na doliny, do których nigdy nie chcieliby powrócić.

Niektórzy jednak opowiadali, że widzieli go w Tatrach, gdy jak co roku wędrował przez Zawrat do Doliny Pięciu Stawów z nieodłączną czarną laską. Inni zaklinali się, że spotkali go w Kapadocji, gdzie badał skalne formy erozyjne. Różne krążyły pogłoski, mniej lub bardziej prawdopodobne, nigdy jednak go już nie odnaleziono, co pozwalało na dalsze swobodne spekulacje dotyczące miejsca jego śmierci, czy też – co wydaje się bardziej właściwe, bo zgodne z jego filozofią – miejsca ponownych i ostatecznych narodzin. Do tej pory spierają się zwolennicy odejścia w Prokletije i w Tatrach, jedni i drudzy wskazując miejsca, w których z całą pewnością widziano go tego lata po raz ostatni. Nie wydaje się, by tę tajemnicę można było łatwo rozwikłać i dać jednoznaczną odpowiedź, gdzie zaginął, tym bardziej, że pojawiły się pogłoski, iż widziano go wtedy również na Korsyce, w okolicy Lac de Creno – które to doniesienia większość akademickich badaczy

zdecydowanie odrzucała (z przekąsem jednak trzeba w tym miejscu stwierdzić, że owi badacze często się mylą; zbyt często, by im zaufać). W każdym razie, w kilku miejscach z nim związanych chciano zatrzymać legendę, że właśnie tutaj dokonała się zamiana jego życia doczesnego w życie wieczne. Ostatnio rozeszła się nawet plotka, że żyje, mieszka w Tiranie, przeszedł na islam i pisze po albańsku. Jest to mało prawdopodobne, ale wykluczyć tego nie można – wie o tym każdy, kto go znał. Jedno, w każdym razie, jest pewne – nikt nie wie ze stuprocentową pewnością, gdzie postanowił zakończyć wędrówkę, kiedy uznał, że wykorzystał swój czas i dalszy kredyt byłby nietaktem, całkowitym zaprzeczeniem idei dżentelmeństwa i dandyzmu, którymi kierował się przez całe życie.

POSŁOWIE

Czytając *Ogólną teorię jesieni* odnosi się wrażenie, jakby książka ta powstała z dwóch antagonistycznych, ale tutaj zgodnie uzupełniających się pierwiastków – apollinijskiego, którego istotą jest pozór, piękno i harmonia, oraz dionizyjskiego, z jego żywiołowością, afirmacją życia, radością, cierpieniem i przemijaniem. Z tych dwóch ingrediencji skonstruowane są filozoficzne mikroopowieści, impresje, czy, jak stwierdzą niektórzy, poetyckie epizody. Każdy z tych elementów mógłby żyć samodzielnym życiem prawie że dowolnego gatunku epiki, ale po zebraniu utworzyły formę istniejącą poza powszechnie przyjętą klasyfikacją, budują opowieść, która jest intelektualnym i artystycznym przetworzeniem fizyczności w metafizyczność, a nie wyłącznie relacją, intymną spowiedzią, czy ogólnie – odbiciem egzystencji. Sobieraj przyzwyczał nas już do łączenia w swoich utworach sprzeczności, do błyskotliwej syntezy antytez. W jego liryce pojawia się często chłodna, zobiektywizowana perspektywa epiki, a w jego epice zindywidualizowana emocjonalność liryki i typowe środki przekazu poetyckiego – metafora, przemilczenie, kontrast, zwięzłość, pozornie błahy szczegół – wszystko w *Ogólnej teorii* widoczne. Gdziekolwiek też można dostrzec tutaj dynamizujące wypowiedź, wzbogacone ironią dygresje o zabarwieniu eseistycznym, ostrą satyrę i elementy reportażu, stanowiące przejaw niespokojnego ducha i nieskrępowanego kracjonizmu. Oczywiście pojawiają

się także cytaty i erudycyjne aluzje, rzecz nienowa w twórczości Sobieraja, będąca jednym z jego znaków rozpoznawczych, świadcząca o ciągłym terminowaniu u najlepszych, czerpaniu przyjemności z czytania mistrzów i o rozległych literackich zainteresowaniach. Nowością natomiast są – nieliczne i dyskretne – imitatywy. Inspiracją była w tym przypadku zapewne klasyka tego gatunku, czyli *The Road to Inver* Toma Paulina czy *Imitations* Roberta Lowella. Konia z rzędem temu, kto je odnajdzie.

Czytanie Sobieraja nie jest łatwe, i to nie tylko z powodów wyżej wymienionych. Przeciętny współczesny czytelnik, przyzwyczajony do zdomowionego w literaturze potocznego języka, licznych dialogów i depresyjnej (lub dla odmiany przepięknej albo magicznej) rzeczywistości, do tego obarczony garbem fatalnej szkolnej edukacji i zindoktrynowany przez media, może nie poradzić sobie z lekturą na poły filozoficzną, do tego emanującą literacką kulturą, erudycją i wyobraźnią. Niemniej, należy pamiętać, że „rzeczy niezwykle są dla niezwykłych ludzi”.

Twórczość Sobieraja – wielowarstwowa, estetyzująca i intelektualna, pełna niedopowiedzeń, bujna w swoim indywidualizmie i niedopasowana do współczesnej konwencji literackiej, już od debiutanckiego tomiku poezji *Gra* zapowiadała zjawisko nieprzeciętne, by nie rzec świetne. I chociaż jego pisarstwo dla wielu jeszcze nie zostało odkryte, żywie głębokie przekonanie, że należy do rodzaju, który zapisze się – prędzej czy później – w historii literatury.

Zygmunt Herman

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	1
Babie lato	3
Przyjście Antychrysta	6
Nauka sikania	8
Herezja	10
Zrywanie kwiatów	13
Wtajemniczenie	15
Madonna wśród skał	17
Kongo	23
FED	31
Damen, Herren – ein Genie!	36
Deklaracja niepodległości	38
Sana'a	41
Papieros	45
Chloe i ptak	47
Attyla, Gniew Boży	57
Obłęd księcia Ventoux	64
Matka i sierpień	80
Ogólna teoria jesieni	83
Widzenie na górze	87
Prokletije	90
POSŁOWIE	92



Tomasz Marek Sobieraj – absolwent geografii na Uniwersytecie Łódzkim; fotografik, autor tomów poetyckich *Gra* (2008), *Wojna Kwiatów* (2009), zbioru opowiadań *Dom Nadzoru* (2009) oraz licznych esejów, felietonów i recenzji książkowych; współautor wyboru utworów erotycznych *Eroticon - drugi krąg piekła* (2010) i antologii opowiadań *Wbrew naturze* (2010).

Ogólna teoria jesieni jest niczym pudełko wybornych wiedeńskich czekoladek. Każda o innym smaku, kształcie, wielkości, każda wywołująca inne obrazy i myśli, a nawet skryte gdzieś głęboko w podświadomości instynkty. Stosując jeszcze bliższe mi porównanie, to opowieść skomponowana jak muzyczne dzieło. Bo wielka literatura jest jak wielka muzyka – za każdym razem, gdy nas uwodzi i pochłania, odkrywa nowe istności. A książki Tomasza Sobieraja podlegają prawom właściwym wszystkim wielkim dziełom – każdy do nich powrót to nowe odkrycie, to inaczej odczuwany smak, to kolejna odsłonięta warstwa znaczeń. Dlatego, by tę książkę zrozumieć, by móc ją w pełni poznać i, w konsekwencji, cieszyć się jej urodą, trzeba wracać do niej wielokrotnie. Tak jak wraca się do wszystkiego, co dobre. Jak do wiedeńskich czekoladek. Jak do Beethovena.

Janusz Najder



ISBN 978-83-928664-1-1



9 788392 866411 >

Editions sur Ner

